

- Ponure widmo na Oceanie Indyjskim — str. 1 i 5
- Sekrety miłości lesbijskiej — str. 7
- Jak rozliczyć się z przeszłością? — str. 3
- Międzynarodowa „mafia” piłkarska — str. 15

Nr indeksu 36762PL ISSN 0472-5042

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny Odgłosy

NUMER 49 (1601)

ROK XXIX

4 GRUDNIA 1988 ROKU

CENA 50 ZŁ

Z prawdziwą czcią i skupieniem podziwiali legioniści ruiny Złotej Bramy.

Zdobywca Złotego Grodu

CEZARY LEŻEŃSKI

To, co zaczęło się 17 kwietnia 1920 roku, nazwą później historycy, publicyści, politycy i literaci — wyprawą kijowską. Piłsudski obawiając się rosnących w siłę na wschodzie Polskiej Armii Radzieckich wydał w tym dniu rozkaz uderzenia — na Wołyniu i Podolu — i rozbił 12 armii oraz części 14 armii stojących przed frontem polskim. Dowództwo całości objął komendant. To o nim powie ówczesny szef oddziału operacyjnego sztabu ścisłego Naczelnego Wodza — Julian Stachiewicz:

— Cały plan operacji i jej przygotowanie były osobistym dziełem Wodza; do współpracy przy jej uktadaniu nie powołał żadnego z dowódców armii. I rzeczywiście. W małym, zabiedzonym, pełnym wybojów i błota miasteczku Równem, gdzie mieści się kwatery główna sztabu ścisłego Naczelnego Wodza, Piłsudski wieczorem 12 kwietnia zwołuje odprawę z dowódcami: 2 armii — generałem Listowskim, 8 armii — generałem Iwaszkiewiczem i do-

wódcami dwóch grup operacyjnych 3 armii generałami Rydzem-Smigłym i Romerem.

Jeszcze parę dni do rozpoczęcia polskiego uderzenia. Parę dni brzemiennych w wydarzenia, które są ważne dla przygotowywanej ofensywy. W dniu 21 kwietnia po wielu rozmowach prowadzonych z atamanem Semenem Petlurą dochodzi do podpisania umowy polsko-ukraińskiej. Rząd polski uznaje Ukrainę Republika Ludową z Semenem Petlurą na czele i prawo Ukrainy do samodzielnego życia państwowego. Strony ustalają także granicę między Polską a Ukrainą: przebiega ona rzeką Zbrucz, dalej od Wyżmierza na pograniczu małopolsko-wołyńskim na północ wzdłuż Prypeci do jej ujścia, pozostawiając Polakom Krzemieniec, Zdobunów, Dubno, Równe i Sarny. Petlura zrzeka się wszelkich pretensji do Małopolski oraz części Wołynia i Polesia. Polska zaś terenów ukraińskich należących do niej przed 1772 rokiem. Najlejszościom w obydwu państwach przyznano jednakowe prawa narodowe.

Przez trzy najbliższe dni kapitan Wacław Jędrzejewicz i major Walery Sławek pracują bez wytchnienia w jednej z sal Zamku Królewskiego w Warszawie, by zdążyć na czas ze sformułowaniem 13-punktowej konwencji wojskowej. Podpisują ją wraz z przedstawicielami URL: generałem Sinklerem i pułkownikiem Didkowskim 25 kwietnia rano. Tego samego dnia ruszy polska ofensywa. Następnego zostanie zajęty Zytomierz i Korosten, a Piłsudski wyda odezwę: „Do Wszystkich Mieszkańców Ukrainy”.

„Wojska Rzeczypospolitej Polskiej na rozkaz mój ruszyły naprzód, wstępując głęboko na ziemie Ukrainy. Ludności ziem tych czynię wiadomym, że wojska polskie usuną z terenów przez naród ukraiński zamieszkałych — obcych najeźdźców...”

Wojska polskie pozostaną na Ukrainie przez czas potrzebny po to, aby władze na ziemiach tych mógł objąć prawy rząd ukraiński...

Razem z wojskami polskimi wracają na Ukrainę szeregi walczyli jej synów pod wodzą

Atamana Głównego Semen Petlury, które w Rzeczypospolitej polskiej znalazły schronienie i pomoc w najcięższych dniach próby dla ludu ukraińskiego...

Wzywam naród ukraiński i wszystkich mieszkańców tych ziem, aby niosąc cierpliwie ciężary, jakie trudny czas wojny nakłada, pomagali w miarę sił swoim wojsku Rzeczypospolitej Polskiej w jego krwawej walce o ich własne życie i wolność. Józef Piłsudski Wódz Naczelny Wojsk Polskich”

Wódz wysłał też list do premiera Skulskiego.

W dniu 3 maja 1920 wychodzi rozkaz operacyjny Piłsudskiego polecający zajęcie Kijowa, a równocześnie przemianowujący grupę generała Smigłego na trzecią armię pod jego dowództwem. Naczelny Wódz Wojsk Polskich przenosi się do Zytomierza, gdzie wraz ze swym sztabem będzie dowodził z wagonu ustawionego na dworcu kolejowym. Piłsudski decyduje się zająć stolicę Ukrainy, ale administrację i aprowizację całkowicie powierza rządowi Petlury. Sam do Złotego Miasta nie wejdzie, chyba po kilkunastu godzinach tam wielkiego atamana. Nie chce, by Ukraińcy odnieśli wrażenie, że Polacy okupują ich stolicę. Na czele wojska jako jego dowódca wkroczy tylko Smigły. Ma za zadanie uchwycić mosty na Dnieprze.

W dniu 7 maja pierwsze oddziały polskiej kawalerii wjeżdżają do Kijowa.

PŁOCKIE: Miała być rozbudowa szkoły, teraz trzeba ją będzie odbudować.

Kilka powodów, dzięki którym nie doszło do nieszczęścia

ANDRZEJ GĘBAROWSKI

W czasie niebezpieczeństwa minuty są jak godziny, dlatego nie potrafia dokładnie określić, jak długo trwała ewakuacja. Jedno jest pewne: zakończyli ją dosłownie w ostatniej chwili. Gdyby nie przytomność nauczycieli, doszłoby tutaj do straszliwej w skutkach tragedii.

W Szkole Podstawowej w Tuchowie trwała właśnie siódma godzina lekcyjna. Dyrektorka, Janina Brożek, wyszła akurat z gabinetu do kuchni, sprawdzić, czy odłączono z kontaktu wyparzonek, bo przed południem nie było prądu. Na parterze, z lewej strony budynku (patrząc od strony boiska) Teresa Wiśniewska prowadziła z klasą IIIa zajęcia z języka polskiego. Nad głowami trzecioklasistów uczyli się dzieci starsze. W miała geografę ze Zdzisławem Godlewskim, a VIIIa — język ojczysty z Kazimierzem Piskowskim.

Nagle zaczęło trzeszczeć.

Do kuchni, gdzie zdążyła już wejść dyrektorka, wbiegła przestraszona świetliczanka Wiesława Koflarz.

— Chyba szkoła się wali! — wykrzyknęła, cała pobladła. Obie rzuciły się na korytarz, gdzie rzeczywiście, było coś takiego słychać, jakby w murach i stropach szkoły ktoś bardzo mocno uderzył się i stękał, jakby napinał wszystkie swe siły, aby powstrzymać to, co narasta powoli lecz nieuchronnie, grożąc wszystkim pionom utratą równowagi. Można to było przyrównać do momentu przed apogee trzęsienia ziemi, gdy budynki już trzeszczą, a jeszcze się nie wali. Drżały sufity i w niektórych miejscach zaczął się osypywać tynk. Najwięcej z przodu korytarza, z lewego krańca budynku,

Reporter „Odgłosów” na pokładzie M/s „Władysław Łokietek”.

Marynarze budują basen

ANDRZEJ MAKOWIECKI

W Antwerpii staliśmy pięć dni 23 sierpnia 1988 roku wybrałem się pieszo do małego miasteczka Ekeren. 24 sierpnia statek odbił od kei, przeszedł przez służę i skierował się szerokim ujściem Skaldy ku morzu 25 sierpnia mineliśmy Kanał La Manche określany uparcie przez Anglików jako Kanał Angielski (English Channel).

Płyneliśmy blisko wybrzeży brytyjskich, widać było złoście wzgórze Dover, a daleko, na lewym trawersie, majaczyła Francja 26 sierpnia dostaliśmy się na wody Biskajskie i zaczęło kiwać Po południu byłem na mostku kapitańskim; dmuchnął parę razy wieloryb, którego wypatrzył asystent pokładowy. Jest to moja czwarta wielomiesięczna podróż statkiem, ale nigdy jeszcze nie widziałem wieloryba Wygląda to tak jakby para biał w górę z ogromnych nozdrzy.

Oplyneliśmy Hiszpanię i Portugalie.

Telewizja mówiła o wielkich pożarach w Lizbonie; mówiła również o Polsce. Temperatura podskoczyła. Morze zmieniło barwę z niebieskiej na granatowo-niebieską. Kapitan zaczął przebąkiwać, że należałoby zbudować basen, bo na statku jest zbyt mało atrakcji. W środy, soboty i niedziele wyświetla się filmy. Można wziąć z salonu pa-



Foto: Grzegorz Galasiński

Odgłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.
Telefony: redaktor naczelny
36-52-44,
sekretnarz redakcji,
fotoreporter: 36-80-99,
publicyści: 36-77-70,
32-89-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.
Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.
Sekretnarz redakcji:
Grażyna Olechnowicz.
Kierownik działu
literackiego: Henryk
Pustkowski.

Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.
Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorożyński,
Andrzej Gębarowski,
Eugeniusz Iwanicki, Teresa
Jerzykowska, Zofia
Kędziora, Marek Koprowski,
Jerzy Kwieciński, Bogda
Madej, Andrzej
Makowiecki, Paweł
Tomaszewski, Marian
Zdrojewski.

Grafik: Janusz
Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz
Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:
Tadeusz Błażejowski,
Marek Brzeziński (Londyn),
Bohdan Gadomski,
Grzegorz Gazda, Andrzej
Karolczak, Witold
Kasperkiewicz, Andrzej
Kempa, Wasyl
Kocznów (Iwanowo),
Włodzimierz Krzemiński,
Zenon J. Michalski,
Ryszard Nakonieczny,
Adam Ochocki, Jerzy
Panasewicz, Maciej
Świerkocki.

Ogłoszenia: Biuro Reklam i
Ogłoszeń Łódź ul. Sienkiewicza 3/5
tel. 32 59 11.
Organizacja reklam: Andrzej
Bartolowicz tel. 36-80-99.
Za treść ogłoszeń redakcja nie
odpowiada.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo
Prasowe RSW „Prasa-
Książka-Ruch” 91-103 Łódź,
ul. Sienkiewicza 3/5.
Druk: Prasowe Zakłady Gra-
ficzne RSW „Prasa Książka-
Ruch”, Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie za-
mówionych rękopisów i zastrze-
ga sobie prawo do skrótów. Za
treść ogłoszeń redakcja nie odpo-
wiada.

Warunki prenumeraty: 1. Dla
instytucji i zakładów pracy —
zlokalizowane w miastach wojewódz-
kich i pozostałych miastach,
w których znajdują się siedziby
Oddziałów RSW „Prasa Książka-
Ruch” zamawiają prenumeratę
w tych oddziałach — in-
stytucji i zakładach pracy zloka-
lizowane w miejscowościach
gdzie nie ma Oddziałów RSW
„Prasa Książka-Ruch”, opłacają
prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. Dla
indywidualnych prenumerat —
osoby fizyczne zamieszkałe
na wsi i w miejscowościach,
gdzie nie ma oddziałów RSW
„Prasa Książka Ruch” opłacają
prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli, osoby
fizyczne zamieszkałe w miastach
— siedzibach Oddziałów RSW
„Prasa Książka-Ruch” opłacają
prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawco oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratę. Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty” na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa Książka Ruch”. 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmują RSW „Prasa Książka Ruch” Centrala Kół Portu Prasy i Wydawnictwo ul. Towarowa 23, 03-958 Warszawa konto PKO BP XV Oddział w Warszawie nr 1658 20145 139 11. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumerat: 1. za granicę — od dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następnego — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 3564. S-10.

Przegląd prasy

Na pierwszej stronie numeru okolicznościowego „GAZETY WARSZAWSKIEJ” (16 kolumn, cena 400 zł) prof. dr hab. Maciej Giertych deklaruje, że jest nie za socjalizmem. Pismo ma tradycję sięgającą aż 1774 roku. Wydawcą jest Spółka z o.o.

„Słowo i Czyn” która przygotowuje publikowanie miesięcznika „Słowo Narodowe”. Celem tego periodyku będzie upowszechnianie polskiej myśli politycznej, w tym dorobku szkoły narodowej związanej z twórczością Romana Dmowskiego i Jędrzeja Giertycha.

Na stronie jedenastej Piotr T. Szymański (student prawa w Warszawie) pisze o źródłach i konsekwencjach mitu Józefa Piłsudskiego. Przytaczam wybrane fragmenty artykułu:

„Budowany ogromny nakładem sił i środków przez rządową (lub wobec rządu dyspozycyjną) propagandę ostatnich 13 lat II Rzeczypospolitej kultu Józefa Piłsudskiego runął nieczym domkiem z kart po wybuchu II wojny światowej (...).

W podziemiu ani w okresie 1939—45, ani później nie zaistniały liczące się ugrupowania z otwartą przyłbicą przyznające się do dziedzictwa skompromitowanego reżymu. Pikanterii dodawał fakt, że nie-miecki okupant cenił pamięć zdobywcy Kijowa, wystawiając u jego grobu warty honorowe...”

Renesans kultu nastąpił w okresie stalinowskim. Był reakcją społeczeństwa na próby zohydzenia Marszałka jako symbolu antykomunizmu i antysocjalizmu.

Obecnie zwolennicy Piłsudskiego całkowicie ujawnili się. Obserwujemy ruch o charakterze quasi-religijnym. U katolików musi budzić to niesmak i odrazę. Wielu ludziom mitologia zastępuje wiedzę historyczną, co na dłuższą metę zagraża duchowemu bytowi narodu. Rozkwit kultu wykorzystuje opozycja lewica, której motywacje są dalekie od patriotyzmu polskiego.

„Jak wobec tego odnieść się do kultu Józefa Piłsudskiego, jako zjawiska na wskroś dla Polski szkodliwego, ośmieszającego swą groteskowością pojęcie polskiego patriotyzmu, powodującego narodową apostazję części młodzieży? Jeśli za kryterium oceny przyjmujemy dobro narodu, nie powinno być wątpliwości. Trzy rzeczy (parafrazując słowa Bonaparte’a) są niezbędne do przeciwstawienia się rozwojowi kultu Piłsudskiego: prawda, prawda i jeszcze raz prawda. Tylko naświetlając prawdę, nieraz bolesną, jakiej często dla wielu niewygodna, możemy nie tyle zważyć pokutujący od dziesięcioleci mit Marszałka (bo nie to jest najważniejsze), co wypłynąć na ugruntowanie się w świadomości nas — Polaków prawdziwego obrazu naszych dzieł.”

Trzy strony dalej Leon Mirecki (radca prawny w Warszawie, po wojnie wielokrotnie więziony polityczny) przypomina represje działaczy narodowych w latach stalinowskich. Zwraca uwagę, że nie tylko w MBP, lecz także w sądownictwie wojskowym, Prokuraturze i Wojewódzkich Urzędach Bezpieczeństwa było dużo Żydów.

„Wielu z nich wyróżniało się szczególnie nieludzkimi postępowaniem, m.in. Berman, Świątło, Różański, Fejgin, Humer, Stefan Michnik (w jednym tylko procesie skazał 15 oficerów WP na karę śmierci), Zambrowski (sprawował nadzór nad UB), Litynski (w jednym z moich procesów jako prokurator wywalczył kary śmierci dla trzech młodych narodowców) itp.

Szczególnie ostre metody były stosowane zarówno w śledztwie jak i w wyrokowaniu w stosunku do narodowców, o czym dane mi było przekonać się osobiście. Wypominano nam nasze stanowisko przedwojenne wobec Żydów, określając je jako antysemityzm. Było to niezgodne z rzeczywistością. To nie był antysemityzm, a tylko trudna i ofiarna samoobrona przed opanowaniem wielu najważniejszych dziedzin naszego życia narodowego przez ludzi o innej etyce, wywodzących się z innej cywilizacji, co prowadziło do szkodliwej dezorganizacji tego życia.”

Leon Mirecki wyraża zdziwienie, że przeciwko stalinowskiemu okrucieństwu nie było prote-

stów. Nie buntowali się wtedy intelektualci. Nie zdarzają się głodówki w kościołach.

„Krajobraz opinii, że protesty zaczęły się pojawiać dopiero w jakimś czasie po usunięciu wspomnianych Bermanów, Różańskich itp. i po ustaniu ich zbrodniczej działalności. Ma to swoją wymowę”.

STRUKTURA TERRORU

O funkcjonowaniu aparatu represji w latach 1948—1952 pisze w miesięczniku „RES PUBLICA” (nr 6) Wojciech Lizak. Przypomina on, że Ministerstwem Bezpieczeństwa Publicznego nieprzerwanie kierował Radkiewicz, a jego zastępcami byli: Mietkowski, Romkowski, Świątlik i Ptasinski. MBP kontrolowało nawet członków Biura Politycznego i Komitetu Centralnego PZPR. Wyjątkowe znaczenie w strukturze MBP miał X Departament. Jego szefem był płk. Fejgin, zastępcą Świątlik, a śledczym płk. Różański. Ośławiona „dziesiątką” dysponowała specjalnym pawilonem w więzieniu mokotowskim oraz zakonspirowanymi willami więziennymi (np. „piekielko” w Miedzeszynie).

Więziennia zakonspirowane w luksusowych willach posiadał również Główny Zarząd Informacji Wojskowej Kierował nim do 1950 r. Stefan Kuhl, a potem płk. Dymitr Woznienski i jego zastępca płk. Antoni Skulbaczewski. GZI podlegał ministrowi Rokossowskiemu, który musiał zatwierdzać decyzje o aresztowaniu oficerów.

Oprócz tego w ramach Głównego Zarządu Politycznego WP kierowanego przez gen. Kazimierza Witaszewskiego działał Główny Zarząd Sądownictwa Wojskowego na czele z płk. Oskarem Karlinierem. Obsługiwał on organizacyjnie sądy podległe Naczelniemu Sądowi Wojskowemu. Szefem NSW był płk. Świątkowski, a zastępcą płk. Tomaszewski.

„Do przyniesienia się do winy zmuszono całą serią tortur fizycznych i psychicznych. Słowo było przez oficerów śledczych, strażników i lekarzy ludzi przetrzymywano po 2—3 tygodnie z krótkimi 15-minutowymi przerwami. Więźniów doprowadzano do stanów przedagonalnych, w których nie kontrolowali siebie. Przesłuchania były przeprowadzane z wykorzystaniem nauk medycznych, konkretnie — patofizjologii układu nerwowego. Grozono zabiciem dzieci, żon, rodziców i przyjaciół.”

W 1950 roku represje objęły wybitnych działaczy Polskiej Partii Robotniczej i Gwardii Ludowej: Mariana Spychalskiego, Grzegorza Korczyńskiego, Aleksandra Kowalskiego, Zenona Kłiszkę. Wyjątkowo drastycznemu śledztwu oddano byłego przewodniczącego Zarządu Głównego Związku Walki Młodoczych. Zmarł w szpitalu więziennym dla psychicznie chorych.

Na polecenie Bolesława Bieruta 2 sierpnia 1951 roku aresztowano Władysława Gomułka i jego żonę Zofię. Proces byłego sekretarza generalnego PPR i wiceprezesa Rady Ministrów miał się odbyć pod koniec 1952 roku. Ale wcześniej strach padł również na niektórych oprawców. Prześladowania dotknęły tzw. nacjonalistów żydowskich i kombatanów wojny hiszpańskiej. W gronie oficerów śledczych na miejsce brunetów o ostrych rysach pojawili się — jak zaobserwował ówczesny więzień F. Widy-Wirski — blondyni o „innych włosach i wyblakłych oczach”. Edward Ochab mówił o represjonowaniu oficerów „bez metryki katolickiej”. Strach padł nawet na członka Komisji Biura Politycznego ds. Bezpieczeństwa — Jakuba Bermana. Nastąpiła swoista „egalitaryzacja strachu”.

RELACJA BERMANA

Jakub Berman zmarł w kwietniu 1984 roku. Nieco wcześniej obszerną rozmowę z nim przeprowadziła Teresa Torńska. Fragmenty drukuje „TYGODNIK KULTURALNY” (nr 47, 48, 49), a całość — około 200 stron maszynopisu — ukazuje się w książce przygotowanej przez „OmniPress”.

Pod koniec września 1947 r. przedstawiciele Bułgarii, Czechosłowacji, Francji, Jugosławii, Polski, Rumunii, Węgier, Włoch i ZSRR obradowali w Szklarskiej Porębie nad powołaniem organizacji koordynującej działania partii komunistycznych. Władysław Gomułka doszedł do wniosku, że Stalin go oszukał i postanowił głosować przeciwko utworzeniu Biura Informacyjnego. Berman przerwał się.

„Tłumaczyłem Gomułce: zrozum, że to absolutny wyłom, pęknięcie w całym układzie sił; i zrozum, co znaczyłoby, żeby Polska się wylamała i naruszyła jedność obozu. Przecież oznaczałoby to, że zdradza i naraża Związek Radziecki. Nie muszę dopisywać, jakie nieszcześćia na nas by spadły. Nasza ekipa poszłaby k czortu, naturalnie, a przyszłaby straszna ekipa, lepiej nie myśleć, jak straszna.”

Moje perswazyje do Gomułki zupełnie nie docierały. Zachowywał się jak małe dziecko, które nie wie, na jakim świecie żyje i nie liczy się z realiami. Miał jakieś kompleksy, którym nie potrafił się przeciwstawić. Wsiadłem w samochód i pojechałem do Warszawy. Zebrło się Biuro Polityczne, zreferowałem sytuację. Zdawaliśmy sobie sprawę, że obowiązuje nas pewne kanony, konkretne układy, możemy osłabiać ewentualne minusy, jakie z nich wynikają, co zresztą robiliśmy, ale musimy trzymać się solidarnie z całym zespołem. Staliśmy się Gomułce deba i podjęliśmy uchwale zobowiązującą go do solidarnego głosowania za powstaniem Biura Informacyjnego i rezolucją w zaproponowanej przez Związek Radziecki treści, zezwalając mu jednak na formułowanie pewnych zastrzeżeń, jakie mamy w tej czy innej postaci Gomułka musiał się naszej decyzji podporządkować (...).

Gomułka naszego stanowiska nie rozumiał. Nie chciał pojąć, iż traktując fakt powstania Biura jako złe konieczne, należy zdobyć się na cierpliwość, pewne sytuacje przeczekać i troszczyć się o własny kraj — mieć jednak na oku interes całego obozu socjalistycznego. Bo jest zbieżny. Nekał go wciąż niepokój, że Biuro ograniczy autonomię polskiej partii. Wpadł więc na nowy pomysł. Po zakończeniu narady w Szklarskiej Porębie zaproponował, byśmy pojechali do Stalina i uzyskali od niego podpis na protokole gwarantującym naszą zachodnią granicę. Nie zdawał sobie sprawy, że to tylko obraziłoby Stalina. (...) Mówił się na nim to, że nie mieszkał tak jak my, dłużej w Związku Radzieckim. Kończył tam wprawdzie szkołę partyjną oraz krótko był we Lwowie, gdzie odgrywał tróciorną rolę jako dyrektor małej fabryczki, nie miał jednak okazji poznać bliżej struktury władzy sowieckiej i komplikowanych jej układów, co było poważnym obciążeniem w kontaktach z nim.”

BIURO MOSKIEWSKIE

Żeby zrozumieć różnice zdań w kierownictwie PPR warto przeczytać artykuł Mariana Malinowskiego w TRYBUNIE LUDU (nr 264). Jest to odpowiedź na list Stefana Jędrzejchowskiego do redaktora naczelnego.

Marian Malinowski przypomina, że od stycznia 1944 roku działało w Moskwie — bez wiedzy i zgody Komitetu Centralnego PPR — Centralne Biuro Komunistów Polski podległe KC WKP(b). W jego skład wchodził: Aleksander Zawadzki — sekretarz, Stanisław Radkiewicz — zastępca, Jakub Berman, Karol Świerczewski i Wanda Wasilewska — członkowie. Za wojsko odpowiadał Zawadzki i Świerczewski, za kadry partyjne i partyzanckie — Radkiewicz, za ZPP — Wasilewska, za współpracę z PPR — Berman. Pełnomocnikami CBKP zostali: Hilary Minć — przewodniczący, Julia Brvstyer — sekretarz, Roman Zambrowski — kierownik.

Przywódcy KC PPR i CBKP spotkali się po raz pierwszy na początku 1944 roku w Lublinie. Wyłoniono wówczas Biuro Polityczne KC w składzie: Władysław Gomułka — sekretarz, Bolesław Bierut, Jakub Berman, Hilary Minć i Aleksander Zawadzki. A w maju 1945 r. wybrano dodatkowo Mariana Spychalskiego i Romana Zambrowskiego.

E. L.

PYTAMY:

Jaki był miniony tydzień?

JANUSZ BARANOWSKI, prezes rady nadzorczej SZU „Westa”.

— Szokowało mnie to, że obrady Zgromadzenia OPZZ przebiegały tak spokojnie, jakby wszyscy ze wszystkimi się zgadzali. Oczekiwałem dramatycznych polemik, może nawet personalnych wstrząsów. Wydało mi się, że o wiele ważniejsza jest teraz walka o lepsze warunki pracy, aniżeli tworzenie zwartego frontu, i znajdowanie sobie przeciwnika. Po drugie, uważam, iż nie należy stawiać zbyt wysokich wymagań, w sensie finansowo-socjalnym, rządowi premiera Rakowskiego. Ten rząd podzielił tylko to, co wytworzyliśmy. Nacisk musi być położony na wytworzenie, a nie na dzielenie. Dlatego też zabrakło mi wyrażonej deklaracji związkowej, że wprawdzie każdemu z nas należy na pełnej misie, ale ta misa wcale nie musi być dla każdego taka sama. Ciekaw jestem, swoją drogą, jak rząd premiera Rakowskiego zacznie realizować swoje zapowiedzi. Interesuję mnie zwłaszcza dwie rzeczy: kształt systemu podatkowego, a także ustawa o przedsiębiorczości. System podatkowy musi stwarzać jasne reguły gry ekonomicznej, nie może też zabierać przedsiębiorstwu większości wypracowanych zysków. Co zaś się tyczy ustawy, to słyszałem, że prawnicy nalegają przy jej „obróbie” na dużą ilość delegacji wykonawczych, odsyłających do resortowych bądź administracyjnych decyzji. Jeśli to prawda, dzieje się źle, bo taka ustawa musi być krótka i zwięzła, nie pozostawiająca furtki na dowolne interpretacje przepisów, musi być zrozumiała nawet dla osób z wykształceniem podstawowym.

ZBIGNIEW SZYLLER, projektant z „Elty”.

— W ubiegłym tygodniu dowiedziałem się z przykrością, że urządzenie, które już dość dawno zaprojektowałem, nie zostanie w „Elcie” zainstalowane, chyba że w nieokreślonej przyszłości. Jest to urządzenie do dystrybucji oleju transformatorowego, zapobiegające przelewaniu się oleju przez każdą, co bywa przyczyną pożarów. W momencie, gdy zakład zgłosił swe zainteresowanie takim opracowaniem, przekonywałem mnie, jak bardzo będzie ono przydatne. Poświęciłem wraz z kolegą dużo czasu, dużo pracy, wykonaliśmy kilka egzemplarzy, a efekt praktyczny dla „Elty” — jak dotąd żaden. Wyceńono nam to urządzenie na 90 tys. zł — rok temu, a zapłata nastąpi dopiero po wdrożeniu, czyli — jak dobrze pójdzie — za dwa, trzy lata. Ile wtedy będzie warte 90 tys. zł? Nasz dystrybutor zajął III miejsce w Młodzieżowym Turnieju Mistrzów Techniki w 1987 r., było stosowne zdjęcie w gazecie zakładowej, a teraz cisza... Od kilku lat próbuję znaleźć producenta dla urządzeń elektronicznych własnego pomysłu. Przykładowo współpracę z przedsiębiorstwem wielobranżowym przy łódzkim zarządzie ZSMP skończyła się na pierwszej wizycie, zaraz potem kontakt się urwał. Dziś liczę już tylko na nową ustawę o przedsiębiorczości. Jeśli rzeczywiście będzie taka, jak się ją teraz w publikacjach przedstawia — zaryzykuję działalność na własny rachunek. Nie mam większego wyboru. Pracujemy oboje z żoną, a że posiadamy dwoje dzieci, wychodzi nam na „głowę” poniżej minimum socjalnego, które wyliczyło OPZZ.

EUGENIA TYBURA, emerytka.

— W ubiegły wtorek zepsuła się definitywnie w domu u syna pralka automatyczna. Od czwartku stoję przed południem przed sklepem „Domartu” przy ul. Dąbrowskiego. Wiem już, jak muszę postąpić, żeby mieć szansę na kupno „Luny”. Trzeba się ustawić przynajmniej o ósmej, bo sklep otwiera o dziesiątej. Jeżeli przyjdę później, nie będę miała szans na znalezienie się na początku kolejki. Tylko wtedy jest pewność, że kupię pralkę, bo dostawy są niewielkie. Niestety, nie mam żadnej pewności, że akurat — powiedzmy — w piątek będą dostawy, a muszę przynajmniej postać do jedenastej, gdyż wtedy przeważnie nadjeżdżają samochody z towarami. Stoję więc, ale bez wiary, że uda się to szybko. Nie jestem handlarz, nie obchodzą mnie odkurzacze, wirówki ani miksery, bo to wszystko jeszcze mamy na „chodzie”. Interesuje mnie tylko pralka automatyczna. Syn pracuje, nie ma czasu na takie stanie. Po to jestem na emeryturze, żeby mieć czas na stanie w kolejkach.

Pytał: ANDRZEJ GĘBAROWSKI

W najbliższych numerach „Odgłosów”

— Moja kwarantanna skończyła się po śmierci Stalina. W 1954 roku byłem już wykładowcą w Państwowej Wyższej Szkole Filmowej. Studentami byli wówczas m.in. Wajda, Polański, Munk, Morgenstern, Kutz... a nieco później Karabasz, Majewski, Leszczyński... Byłem później opiekunem ich debiutanckich filmów — wspomina prof. JERZY BOSSAK, współtwórca szkoły filmowej, wychowawca wielu reżyserów.

— Codziennie chodziłam na ementarz. Przytulałam się do mogiły, obejmowałam ją i szlochałam. Kiedyś zdało mi się, że ziemia jakby westchnęła. Przeszły mi się trochę, słucham, a wokoło drzewa szumią jakoś dziwnie. Na ementarzu zawsze przecięło cicho, a wtedy głośno się zrobiło. Nie, to nie był hałas, ale coś takiego... — reportaż BOGUMIŁA A. MAKOWSKIEGO pt. „Za co los mnie tak karze?”.

— Widownia aż kipi, ludzie tłoczą się, śpiewają i piją. Prawie tyle osób, co na widowni, oblega bar w jednym z korytarzy. Tu pije się ostro. Od czasu do czasu ktoś gęstem daje znak barmanowi, a ten stawia szklanki alkoholu. Nie, kieliszki, lecz szklanki! Zapewne taki tu zwyczaj — reportaż EUGENIUSZA IWANICKIEGO z krakowskiej „Piwnicy pod Baranami”.

— Na oczach Nikity Chruszczowa stawiano pod ścianę najwybitniejszych działaczy państwowych. On także latami czekał na swoją godzinę, zasypiał bez nadziei ujrzenia jutra, szedł na wezwanie Stalina, nie wiedząc, czy wróci żył i czekał, czekał i drżał. Wykarmiony i wychowany nie żył jednak uczucia wdzięczności... Wyrzucił Stalina z Mauzoleum, wykarcał jego pomnik, stawił imię z map, nie przestraszył się milionowego głosu wyznawców — dokonanie opowiadania WŁODZIMIERZA TIENDRIAKOWA „Na szczęśliwej wyspie komunizmu”.

— Otrzymałmy sygnał od Czytelników, że w jednej z łódzkich szkół powstała klasa, w której zebrano uczniów pochodzących z rodzin alkoholików i rodzin rozbitych. Zabrzmiało to niewiarygodnie — reportaż ZOFII KĘDZIORY pt. „Dzieci drugiej kategorii”.

Dyskusje stały się nieodłącznym elementem polskiego krajozobu politycznego. Najpopularniejszym tematem owych dyskusji są kwestie ekonomiczne dotyczące reformy i polityki społeczno-gospodarczej. Znamiennym rysem tych debat jest znaczne zróżnicowanie poglądów dyskutantów, swoisty pluralizm sądów i opinii na temat sposobów i mechanizmów uzdrowienia chorej gospodarki polskiej. Potwierdzenie tej obserwacji stanowi przebieg dyskusji przy łódzkim „okrągłym stole”, którego gospodarzem był prezes OW PTE w Łodzi doc. dr hab. Tadeusz Janusz. Tematem tej ciekawej dyskusji, która odbyła się w październiku 1988 r. uczyniono problem uwarunkowań skuteczności drogi wychodzenia z kryzysu. Przy stole zasiadli ekonomiści i socjologowie z Uniwersytetu Łódzkiego oraz przedstawiciele praktyki gospodarczej.

Zakres tematyczny dyskusji był dość szeroki i obejmował cztery podstawowe kwestie: problem własności środków produkcji, politykę płacową, postawy społeczeństwa wobec reformy gospodarczej i politycznej uwarunkowania procesu reformy (demokratyzacja życia społecznego). Dyskusja ta jeszcze raz dowiodła, że reforma gospodarcza to nie tylko zmiana mechaniki ekonomicznej, lecz także, a może przede wszystkim, skomplikowany proces społeczny wymagający przezwyciężenia wielu barier ekonomicznych, politycznych i ideologicznych.

— Gdzie tkwią główne źródła naszego kryzysu i przyczyny zahamowań reformy?

Rdzeniem problemu jest, w przekonaniu doc. dr hab. Wiesława Cabana, sprawa stosunków własnościowych. U podstaw naszego kryzysu leży kryzys własności środków produkcji w gospodarce socjalistycznej. Nacjonalizacja przemysłu stworzyła, zdaniem doc. W. Cabana, anonimowość własności, za wykorzystanie własności nikt nie ponosi odpowiedzialności w sensie ekonomicznym. Centralny aparat państwowy, będący dysponentem środków produkcji, uwikłał się w podejmowanie decyzji mikroekonomicznych przez co utracił suweren-

dyproporcje występujące między wzrostem produkcji i wzrostem płac w dziale I stanowią główne źródło napięć inflacyjnych w naszej gospodarce. Postęp w reformowaniu gospodarki zależy w opinii prof. J. Chechlińskiego od tego, czy uda się rozbić lobby działu I zrosnięte ściśle z aparatem urzędniczym szczebla centralnego.

Wątek społecznych uwarunkowań reformy pojawił się bardzo wyraźnie w wystąpieniu prof. dr hab. Jolanty Kulpińskiej. Reforma gospodarcza staje się, jak sądzi prof. J. Kulpińska, hasłem coraz mniej zrozumiałym dla szerokich kręgów społecznych. Nie wytrzymuje krytyki występujący w oficjalnych enuncjacjach pogląd, że rząd chce reformy, natomiast społeczeństwo niechętnie odnosi się do radykalnych zmian ekonomicznych. Prof. J. Kulpińska przytoczyła wyniki badań socjologicznych przeprowadzonych w 1984 r., z których wynika, że za reformą opowiadają się głównie robotnicy wykwalifikowani i specjaliści zakładowi nie pełniący funkcji kierowniczych. Natomiast nie popierają reformy te grupy w przedsiębiorstwach, które cechuje „bliskość władzy”, tzn. kierownicy, członkowie partii itp.

Badania socjologiczne z 1987 r. potwierdzają na ogół wyniki uzyskane w 1984 r. Ważne znaczenie dla losów reformy ma, zdaniem prof. J. Kulpińskiej, fakt, że zmiany w postawach społecznych wobec reformy nie zachodzą w partii i „Solidarności”, lecz w grupie tzw. milicji większości społeczeństwa. Wykazuje ona rosnącą obojętność wobec reformy i uczestnictwa w życiu politycznym kraju. Pogłębiają się procesy prywatyzacji życia i upadku norm.

Niektóre konkluzje sformułowane przez prof. J. Kulpińską spotkały się z polemiką ze strony dr. Mieczysława Antczaka i dr. Piotra Świderskiego. Dr M. Antczak zakwestionował prawdziwość sądu o niechętnym stosunku kadry kierowniczej do reformy. Według niego większość owej kadry znajduje się w nurcie reformy i popiera jej filozofię. Natomiast dr P. Świdorski krytycznie odniósł

Z tej ziemi.

Więcej wiedzieć, aby więcej rozumieć

Ludzie mają pomysły, ludzie piszą listy i w tych listach opisują swoje pomysły. Są one różne. Marian Nowak z Justynowa koło Łodzi słusznie zwraca mi uwagę, że czterdziści parę lat temu wprawdzie „robotnicy wzięli fabryki we własne ręce, odbudowali je i uruchomili, często nie pytając o zapłatę” — jak napisał w artykule „Stół ten widzę ogromny” — ale zapomnieliśmy dodać, że „główny ciężar w odbudowie fabryk, jak i całej gospodarki zniszczonej przez okupanta ponosili jednak chłopcy, którzy sfinansowali całą operację”. To prawda. Chłopi, z przeludnionych wsi zasilili klasę robotniczą, o czym też często zapomnieliśmy w naszych polityczno-społecznych rozważaniach.

Dr Leszek Skonka z Wrocławia nadesłał do „Odgłosów” komunikat o powstaniu „Społecznego Komitetu Pamięci Ofiar Stalinizmu w Polsce”. Sprawa jest poważna, ale mimo woli musiałem się uśmiechnąć, gdy czytałem następujący fragment tego komunikatu: „Komitet jest instytucją społeczną, obywatelską, otwartą dla wszystkich Polaków w kraju i za granicą, którzy pragną oddać hołd ofiarom stalinizmu, opowiadają się za ujawnieniem wszystkich zbrodni i przestępstw oraz sprawców tamtego okresu, a którzy nie uczestniczyli aktywnie w stosowaniu terroru w owym czasie, w sprawowaniu władzy na różnych szczeblach, nie byli faworytami ekipy rządzącej, nie korzystali z łask, przywilejów, nagród, odznaczeń, wyróżnień, awansów i innych dobrodziejstw za okazany serwilizm”.

Tak szeroko sformułowane kryteria muszą spowodować wiele zamieszania. Przede wszystkim powstaje pytanie: kiedy w Polsce zaczął się stalinizm i kiedy się skończył? Uważam na przykład, że nie można precyzyjnie ustalić dokładnie momentu, w którym stalinizm w Polsce się skończył. Uważam dalej, że ciągle jeszcze trwa proces przezwyciężania stalinizmu u nas. A zatem kto odpowiadałby cytowanym kryteriom i kto to ma ustalać?

Musieliśmy się nadal uśmiechać, gdy czytałem dalej: „Stalinizm objawia się i dziś, i to w najmniej spodziewanych miejscach, okolicznościach, postaciach. Jego apologeti i wyznawcy dla zmylenia opinii przywdziałają różne szaty i zakładają różne maski, udając patriotów, demokratów, świętości, obrońców robotników, wolności, praw człowieka, pluralizmu. Myślą, że saturna, mundur, toga, święty obrazek lub znak z kłębem, głośnie deklaracje, hasła i symbole zmylą społeczeństwo. Zdradzają ich jednak czyn”.

Według tych kryteriów wszyscy jesteśmy stalinowcami. Uczenie pamięci ofiar stalinizmu jest sprawą poważną i nie powinni brać się za to amatorzy, bo więcej mogą zaszkodzić niż zrobić dobrego. Ale żeby czcić pamięć ofiar stalinizmu, trzeba je najpierw poznać. Jestem przeciwnikiem przyspieszania procesów społecznych — a to też proces społeczny — gdyż już dość mamy złych skutków wynikłego z takiego właśnie przyspieszania.

Brak precyzji, wiedzy, zastrzeżenia powódzie, że szczytny zamiar przetrwać, ze swoimi przeciwnikami. Gdy uważnie czyta się komunikat nadesłany z Wrocławia, to odnosi się wrażenie, że obrońcy pamięci ofiar stalinizmu jakby o czymś zapomnieli. Zanim ofiarami stalinizmu stali się żołnierze AK, oficerowie WP, władze Polski Podziemnej a później działacze lewicy — to padli ofiarami stalinizmu polscy komuniści. Nie wiem, czy mamy dziś pełny rejestr komunistów, którzy zostali rozstrzelani w ZSRR lub zgineli w łagrach? Jugosłowianie taki rejestr zrobili i wynosi on przeszło 800 osób. Działają w myśl zasady, że nikt nie może być zapomniany. Powinniśmy również przyjąć taką zasadę. Jeśli już miałby powstać taki komitet, to potrzebna tu jest co najmniej inicjatywa PRON.

Jeśli już mamy czcić pamięć ofiar stalinizmu, to czcijmy pamięć wszystkich ofiar! Są jednak trudności z pełną popularnością naszej przeszłości. W ZSRR mówi się — i słusznie — że nie można dokonać

kroku naprzód, jeśli nie rozliczy się z przeszłością. U nas — takie odnośne niekiedy wrażenie — wielu ludzi wołałoby, aby nie ruszać przeszłości, zostawić ją w takim fałszywym kształcie, jaki stworzono do tej pory. Taki ton bije z listu Tadeusza Kolaczyka — naszego stałego korespondenta. Wprawdzie zastrzegł się, „nie zrobić ze mnie drugi raz stalinowca”, ale argumentacja użyta w liście pozwala sądzić, że Tadeusz Kolaczyk zatrzymał się gdzieś na początku lat pięćdziesiątych i patrzy na świat z tamtego punktu widzenia. Zdaniem naszego korespondenta Edward Grzędziński na łamach „Życia Warszawy” i „Odgłosów” wystąpił w obronie „szesnastu niewinnie oskarżonych”. Uważa on natomiast, że „sąd w ZSRR nie oskarżał tylko na podstawie pomówień”, bowiem w Polsce „strzelano do żołnierzy, milicjantów, działaczy społecznych i partyzantów. Każdy bolszewik był wrogiem i przed śmiercią powinien zjeść swoją legitymację partyjną”. W końcu Tadeusz Kolaczyk przyznaje szczerze: „Ja też wszystkiego nie wiem” i zastrzega, że wszystko co napisał „dotyczy „procesu szesnastu”. Pozostałych problemów, łączących się z tą sprawą celowo nie poruszylem”. A szkoda!

Nie można bowiem jakiegoś faktu historycznego wyrwać z tła i rozpatrywać jako fakt istniejący samodzielnie. Warto na przykład wiedzieć, że w tym samym czasie, gdy w Moskwie toczył się proces szesnastu, trwały obrady delegacji polskich z Londynu i Warszawy, że Rząd Tymczasowy nie miał próbną interwencji u władz radzieckich w sprawie szesnastu, gdyż — ich zdaniem — była to sprawa wewnętrzna Polski, że Władysław Gomułka był u Józefa Stalina i też interweniował. Jego zdaniem — choć interwencja nie dała bezpośredniego skutku — wpłynęło to na złagodzenie wyroków. A więc sprawa nie jest taka jednoznaczna, jak się to Tadeuszowi Kolaczykowi wydaje.

Systematycznie ukazują się dokumenty i opracowania odnoszące się do narodzin władzy ludowej w Polsce. Można sobie na ich podstawie wyrobić samodzielnie pogląd, nie ulegając nieczym sugestiom. Trzeba tylko chcieć. I trzeba kierować się realiami, a nie uprzedzeniami i mitami. Bardzo często zarzuca się władzom przedwzrostowej Polski, że nie chciały skorzystać z pomocy ZSRR. Zarzut ten figuruje w oficjalnej historiografii, można go znaleźć w wielu książkach.

Dziś patrzę na to zupełnie inaczej. Po pierwsze — bez wątpienia rok 1920 zacząłby nad sposobem myślenia polityków II Rzeczypospolitej, jak i klasowo różnicę w widzeniu polityki i sojuszy. Po drugie — jak wynika z dokumentów, choćby publikowanych niedawno w „Życiu Warszawy”, władze polskie wiedziały dobrze co się dzieje w ZSRR i jaka jest sprawność bojowa Armii Czerwonej po „stalinowskich czyszczeniach”. W świetle tego jakikolwiek sojusz między Polską a ZSRR w 1938 i 1939 roku był niemożliwy. Pomijam już stalinowską politykę zagraniczną, której celem było obalenie układu politycznego w Europie po traktacie wersalskim.

Wychodząc z tego założenia nie można dziwić się politykom Polski Podziemnej, że nie oczekiwali wyzwolenia ze Wschodu, a sojuszników szukali uparcie na Zachodzie, co było — obiektywnie rzecz traktując — brakiem realizmu i błędem politycznym. Ale subiektywnie, dla polityków podziemia było to naturalne następstwo dotychczasowej polityki zagranicznej, która nie szukała oparcia ani w Niemczech, ani w ZSRR, tylko we Francji i Anglii. Czego więc się można było po nich spodziewać?

Władysław Gomułka, który był wielkim realistą politycznym, za co brał cież, tak 12 stycznia 1944 roku — w piśmie adresowanym do komunistów polskich w ZSRR — ocenił sytuację:

„Sanacyjna Armia Krajowa rozporządza (w schowkach) bez porównania większą ilością broni niżeli my, gdyż po pierwsze otrzymała bardzo wiele broni od rządu emigracyjnego, po drugie dysponuje ona setkami milionów złotych. Ten fakt

stwarza dla nas niebezpieczeństwo w momentach walki o władzę”.

Natomiast Armia Krajowa poprzez „Burzę” usiłowała odegrać wobec nadchodzących wojsk radzieckich rolę gospodarza, który wita wyzwoleńców. Zatem jedna i druga strona tego konfliktu liczyła się z walką zbrojną o władzę. I do takiej walki doszło.

W piśmie skierowanym w 1975 roku do redakcji „Archiwum Ruchu Robotniczego” Władysław Gomułka tak scharakteryzował ówczesną sytuację, na moment przed walką: „Możliwość rozszerzenia bazy KRN były w tym okresie bardzo niewielkie. Lecz z gruntu fałszywe stanowisko, jakie w tej sprawie zajmowali Bierut i Józwiak niwelowało te możliwości do zera. Niedługo później okazało się, jak drogo naród polski musiał zapłacić za to, że miał w Londynie tak begrabnie i głupio rząd emigracyjny, a w kraju tak słabą pod względem zasięgu politycznego oddziaływania Krajową Radę Narodową”.

Zresztą na początku lat pięćdziesiątych Bolesław Bierut i Jakub Berman usiłowali zarzucić Władysławowi Gomułce, że chciał — starając się o poszerzenie bazy społecznej KRN — oddać KRN, AL i Bóg wie co jeszcze w ręce sanacji, co było absurdem. Po prostu Władysław Gomułka był politykiem.

W książce Mieczysława Jaworskiego „Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego 1945 — 1965” znajdują się dane — jak zresztą sam autor podkreśla: „niepełne, raczej zanizone” — dotyczące skutków wojny domowej w Polsce. Odnoszą się one tylko do działalności KBW. I tak w latach 1945 — 1947 KBW przeprowadził 6 371 akcji, podczas których zabito 1 508 przeciwników, rannono 301, straty własne wyniosły: 259 zabitych i 348 rannych oraz 72 uwięzionych. W tym czasie aresztowano 12 200 członków podziemia, 2 908 współpracowników, 13 457 podejrzanych, 715 dezertów i 18 174 „innych”. Sądy doroczne KBW w 1946 roku przeprowadziły 284 rozprawy, skazały na śmierć 361 osób i wykonało 356 wyroków śmierci.

Dziś mówimy „podziemie”, jakby to był monolit, a przecież z władzą ludową walczyły oddziały WiN (Wolność i Niepodległość), NZW (Narodowy Związek Wojskowy), KWP (Konspiracyjne Wojsko Polskie), Wielkopolska Samodzielna Grupa Ochotnicza „Warta”, „Wehrwolf” — Wilkolak oraz UPA (Ukraińska Powstańcza Armia). Znalazłoby się jeszcze całe mnóstwo małych grup noszących nazwy od swoich przywódców: „Huzara”, „Zelaznego”, „Młota”, „Sokolika”, „Ognia”, „Deba” i tak dalej. Z czasem grupy te traciły polityczny charakter i stały się zwykłymi bandami rabunkowymi. Ostatnią bandę zlikwidowano dopiero w 1957 roku. Nie wszystko zatem jest takie proste, jak to się niektórym ludziom — skłonnyom do uproszczeń — wydaje. Dlatego zawsze dobrze jest wiedzieć, nim się wydaje sądy, powołuje komitety, podejmuje polemiki. Im się bowiem więcej wie, tym się więcej rozumie.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

PS I. Nie wydrukowaliśmy w całości listu Tadeusza Kolaczyka po prostu dlatego, żeby oszczędzić mu ataku polemistów. W redakcyjnej tecze czeka plik listów, w których ich autorzy protestują przeciw poprzedniej publikacji listu Tadeusza Kolaczyka. Do sprawy wrócimy.

PS II. Leszek Skrzydło — reżyser WFO — zwrócił mi uwagę, że piosenki legionowe śpiewał z balkonu nie w 1957 roku, a w maju 1954. Pomyliłem nie tylko daty, ale epoki. W 1954 roku Katowice nazywały się jeszcze Stalinoogrodem. Pomyliłem proste, co jeszcze bardziej podnosi wagę śpiewu Leszka.

L. W.

Kto popiera reformę, a kto jest jej przeciwny?

Gdzie zniknęło decydujące ogniwo?

WITOLD KASPERKIEWICZ

ność wobec przedsiębiorstw. Państwo występuje w roli urektora przedsiębiorstwa ogólnonarodowego i dlatego nie może egzekwować wymagań efektywności od jednostek gospodarczych.

Ze swojej analizy doc. W. Caban wyciąga wniosek, że kluczem do rozwiązania polskiego kryzysu jest uzdrowienie własności. Reforma systemu własności warunkuje skuteczną zmianę w mechanizmie gospodarczym. W kwestii przebudowy stosunków własnościowych w Polsce ukształtowały się trzy główne opcje. Pierwszą stanowił uspołecznienie przez stworzenie własności samorządowej. Istotą tej opcji jest uspołecznienie w drodze powierzenia zasobów materialnych i majątkowych samorządom pracowniczym.

Drugą opcją jest uspołecznienie przez własność akcyjną czyli przekształcenie przedsiębiorstw państwowych w spółki akcyjne z udziałem zarówno skarbu państwa, jednostek gospodarczych, banków i osób indywidualnych. Trzecią opcją jest stworzenie modelu gospodarki wielosektorowej przy założeniu równoprawności różnych sektorów. Doc. W. Caban opowiedział się za wariantem samorządowym gwarantującym realne uspołecznienie własności i likwidację alienacji pracowników. Podkreślił także, iż rozwiązanie samorządowe znalazło się w impasie; rozwija się bujnie retoryka samorządności, natomiast postęp w upowszechnianiu realnej samorządności pracowniczej jest niedostateczny.

Drugim obok własności środków produkcji kluczowym problemem polskiej reformy jest kwestia systemu płac. Kwestia ta zajął się w swoim wystąpieniu prof. dr hab. Janusz Chechliński, który ostro skrytykował politykę prymitywnego egalitaryzmu dochodowego prowadzącą do zacierania się różnic między placą a świadczeniami socjalnymi. Na podstawie analizy materiałów statystycznych prof. J. Chechliński ustalił, że w Polsce od dłuższego czasu występuje dysproporcja polityka płac w kontekście płace — świadczenia socjalne. Świadczy o tym porównanie wskaźników tempa wzrostu płac i świadczeń socjalnych — w okresie 1970—1985 średnio roczne (w cenach z 1970 r.) płace rosły o 2,7 proc., zaś świadczenia o 11,2 proc. Z porównania tych kategorii w cenach bieżących wynika, że przyjmując rok 1978 za 100, płace w 1986 r. wyniosły 450, natomiast świadczenia socjalne 780. Według szacunków prof. J. Chechlińskiego udział płacy w dochodach ludności wynosi zaledwie ok. 40 proc. Start do radykalnej reformy gospodarczej jest więc, w opinii prof. J. Chechlińskiego, wyjątkowo zły.

Głęboki niepokój budzi, w przekonaniu prof. J. Chechlińskiego, poziom wynagrodzeń w sferze niematerialnej, której kondycja decyduje o poziomie rozwoju cywilizacyjnego współczesnych społeczeństw. Tymczasem mankamentem polityki płacowej w tej sferze jest nie tylko niski poziom płac w porównaniu ze sferą produkcji materialnej, lecz również nieprawidłowe relacje w obrębie samego sektora niematerialnego. I tak przyjmując średnie płace w gospodarce narodowej w 1986 r. za 100, płace w sferze kultury fizycznej wyniosły 91, w nauce (bez szkół wyższych) — 88, w kulturze i sztuce — 83, w oświacie i wychowaniu (ze szkołami wyższymi) — 78 i w ochronie zdrowia — 76. A więc również i w sferze niematerialnej preferuje się „pracę fizyczną”.

Analiza wskaźników obciążenia wzrostu płac wzrostem produkcji przemysłowej skłoniła prof. J. Chechlińskiego do sformułowania tezy o istnieniu w naszym kraju „terroru” działu I w stosunku do reszty gospodarki narodowej. Otóż według obliczeń autora tej tezy, na jednostkę przysrodukcji w przemyśle metalurgicznym przypada 3 jednostki wzrostu płac, a w przemyśle stocznym aż 20 jednostek (!). Natomiast wskaźnik ten dla przemysłu lekkiego wynosi 0,6—0,9. Te jawne

się do opinii o aprobowanym stosunku robotników do reformy. W jego mniemaniu reforma rynkowa nie jest popularna wśród mas pracujących. Najlepszym tego przykładem jest brak akceptacji robotników dla silnego zróżnicowania wynagrodzeń. Korzystając z prawa do repiki prof. J. Kulpińska stwierdziła, że robotnicy egalitarnie skierowani jest przeciw niesprawiedliwemu różnicowaniu płac. Robotnicy są skłonni zaaprobować różnicowanie płac, jeśli jest ono oparte na uzasadnionych ekonomicznych kryteriach.

Pluralizm sądów i opinii rozwijał w pełni swoje skrzydła, gdy w dyskusji poruszano problem politycznych uwarunkowań reformy. W politycznej części dyskusji postulowano konieczność demokratyzacji gospodarki i państwa, pluralizacji życia publicznego i odpolitycznienia gospodarki (mgr Jerzy Drygański, mgr Jacek Kwaśniewski). Mgr J. Drygański stwierdził, że reforma rynkowa wymaga demokratyzacji państwa. Bez demokratyzacji nie pojawia się siły społeczne zdolne do przeprowadzenia reformy. W jego przekonaniu ponowna rejestracja „Solidarności” przyczyniłaby się do wzmocnienia sił proreformatorskich.

Interesujący i kontrowersyjny pogląd w kwestii polskiego modelu politycznego wyłożył dr Edmund Lewandowski. Swoje rozumowanie dr E. Lewandowski oparł na krytycznej ocenie kondycji trzech instytucji: partii, Kościoła i „Solidarności”. Partia przeżywa kryzys i starzeje się, Kościół jest barokowy i anachroniczny, natomiast „Solidarność” jest w pewnym sensie synteza partii i Kościoła, żyje mitem dawnej popularności, choć ją utraciła. Nasze życie polityczne, jak twierdzi dr E. Lewandowski, pozbawione jest silnych elit. W minionych latach ani PZPR, ani „Solidarność” nie wyłoniły silnych elit przywódczych. Jaki jest wobec tego ratunek dla Polski? Dr E. Lewandowski uważa, iż szansę ratunku stworzyby Rząd Ocalenia Narodowego. Co do pejażu politycznego Polski, dr E. Lewandowski sądzi, iż pluralizm należy rozwinąć poprzez wolność tworzenia stowarzyszeń, a nie poprzez mnożenie partii politycznych. W kwestii „Solidarności”, akceptuje on potrzebę reaktywowania tej organizacji, ale jako związek zawodowego działającego w ramach prawa, a nie tarana rozbiłającego ustrój socjalistyczny.

Odmienne punkty widzenia w sprawie pluralizmu politycznego przedstawił dr Ryszard Zieliński. Stwierdził on, że regulacja rynkowa nie może sprawnie funkcjonować w monocentrycznej strukturze politycznej. Wobec tego niezbędny jest system wielopartyjny i rywalizacja między partiami, w której orężem będą programy społeczno-gospodarcze prezentowane przez różne ugrupowania polityczne.

Wiadomo, że proces reformowania gospodarki odbywa się na żywej tkance społeczeństwa, które wykazuje duże znaczenie przedłużającym się kryzysem. W związku z tym, jak słusznie zauważył doc. dr Witold Lejman, poważnym błędem jest ciągłe akcentowanie w różnych programach rządowych elementu wyrzeczonych konsumpcyjnych społeczeństwa, owego słynnego „zaciskania pasa”. Zdaniem doc. W. Lejmana punktem wyjścia do reformowania gospodarki nie może być założenie o wyrzeczności. Z psychologicznego punktu widzenia jest to założenie niebezpieczne, gdyż pogłębia ono frustrację społeczeństwa, a przecież program reform powinien mobilizować olbrzymie pokłady aktywności wszystkich kręgów społecznych. Niezbędne są więc, według doc. W. Lejmana, programy, czy wizje zachęcające społeczeństwo do intensyfikacji wysiłku produkcyjnego i przedsiębiorczego, a nie programy, z których widać brak wyraźnych perspektyw na poprawę stopy życiowej Polaków.

Następnego dnia, w dzień świętego Stanisława, dowódca trzeciej armii wraz z głównymi siłami wkrocza do miasta, jak go zwa — matuzi — kiego grodów ruskich. Chyba że wzruszeniem i z żołnierską dumą wchodzi generał do historycznego Kijowa. Z prawdziwą czcią i skupieniem podziwiają legioniści ruiny Złotej Bramy. Trudno im uwierzyć, że te same mury oglądały przed równo dziewięćmioma wiekami, bo w 1018 roku, wjazd wielkiego wodza lechickiego, króla Bolesława Chrobrego, który w to samo sklepienie ciał mieczem. Legenda to czy prawda, nie wnika. Dość, że ten miecz wyszczerbiony jest dla nich symbolem odrodzonej Rzeczypospolitej.

Rozkwaterowują się oddziały, rozmieszczają konie i tabory. Z wysokiego brzegu, ze swej mogły legendarny Askold Wareg, przybyły tu z dalekiej północy, zda się patrzeć na żołnierzy polskich. Ci zaś kierują swój wzrok gdzie indziej — na rozległą Ukrainę Złotopolską, piękną w majowym słońcu.

— Dlaczego tu stoimy? Dlaczego nie ścigamy nieprzyjaciela?

To samo pytanie zadaje Naczelnemu Wodzowi Rydz-Smigły. Pilsudski wyjaśnia:

— Siedź w Kijowie i ubezpiecz się tu. Nie-dobre wieści nadchodzą z północy. Nad Berezyną gromadzą się wielkie siły czerwonych. Zabieram stąd, co mogę, i tam posyłam. Spod Kaukazu ciągnie korona armia z Woroszyłowem i Budionnym.

Komendant powtarza to samo — generałowi Sosnkowskiemu, tylko w formie bardziej kategorycznej:

— Po zajęciu Kijowa zatrzymuję front. Na Odessę Ukraińcy mogą iść sami.

Nie takie to jednak proste. Rosjanie wcale nie zrezygnowali z Kijowa. Choć pod naporem trzeciej armii Smigłego z początku cofnęli się, teraz przechodzą do kontrataku. Tym bardziej, że w rękach Armii Czerwonej znajdują się jeszcze mosty na Dnieprze. Oni sami stoją twardo na przedmieściu Browary.

O świcie 9 maja pułki z dwóch dywizji: 1 legionowej i 15 — zbliżają się cichcem do Dniepru. Kiedy zalegają wzdłuż brzegu, rozpoznają się natarcie artyleryjskie. Pociski polskie rwą się wśród okopów wroga. Widać bliski i wylatujące w górę słupy ziemi. Przeciwnik spodziewając się tego ataku zniszczył część wiszącego mostu przy swoim brzegu.

Cichnie artyleria i ruszają polskie pułki. Czepiając się ogolonej konstrukcji przejeżdża dowódca kompanii 6 pułku piechoty Legionów próbuje przedostać się na przeciwny brzeg. Ogień jest gęsty, a oficer nie przyzwyczajony do podobnej, prawie cyrkowej ekwilibrystyki. Traci równowagę i leci do rzeki. Spadają też żołnierze. Na szczęście nie jest tu głęboko. Przekonują się, że mogli forsować Dniepr wpław. Dobiegają do karabinów maszynowych czerwonoarmistów. W podobny sposób walczą na moście drogowym i kolejowym 60 pułk piechoty.

Odgłos bitwy niesie się nad miastem, budzi mieszkańców, wywołuje niepokój, kto zostanie zwyciężca na placu boju. Wybuchy granatów ręcznych przerywane są okrzykami walczących. Jak groch sypią się serie broni maszynowej. Wreszcie wrzawa powoli cichnie. Mosty dostają się w ręce polskie. Pułki trzeciej armii zajmują przedmieście Browary.

W tym samym dniu Sztab Generalny Wojsk Polskich wydaje komunikat:

„Piechota nasza wkroczyła do Kijowa dnia 8 bm. rano, po czym nie zważając na silny ogień nieprzyjaciela broniącego uporczywie mostów na Dnieprze, sforsowała takowe 9 bm. i umocniła się na lewoobrzeżnym przyczółku mostowym. W ciągu dnia wczorajszego bolszewicy ogniem artylerii ostrzeliwali miasto.

Na Polesiu po przełamaniu zaciekłego oporu w nader trudnych warunkach zwycięskie nasze wojska nocą z dnia 8 na 9 bm. zdobyły szturmem miasto i stację kolejową Rzeczycę. W ten sposób ofensywa nasza doprowadziła do opanowania linii Dniepru do ujścia rzeki Krasnej.

Oddziały naszej południowej armii, rozbijając dwa pułki bolszewickie, zajęły Bractaw i Tulczyn. Równocześnie sprzymierzone wojska ukraińskie zajęły Jampol.

Na odcinku Dźwiny ożywiona działalność wywiadowczych oddziałów.

Wobec konieczności przegrupowania sił 9 maja o jedenastej rano odbywa się w Kijowie coś w rodzaju defilady. Przed generałem Rydzem-Smigłym przez sam środek miasta przeciągają oddziały polskie i ukraińskie. Świadek tego przemarszu Tadeusz Kutrzeba powie:

— Defilada wypadła znakomicie. Przed oczyma niepolicejnych tłumów przemarszerowały w świetnej postawie ze sztafarami, orkiestrami i fanfarami — oddziały pierwszej dywizji: pułki podhalańskie, wielkopolskie, suwalskie, artyleria ciężka, oddziały techniczne i ukraińska szósta dywizja Petlury, sformowana w Brześciu. Wrażenie było potężne: patrzyli ludzie powtarzali, iż od czasu wymarszu Niemców nie widziano na Ukrainie wojska prezentującego się tak wspaniale.

Gorzej natomiast wyglądał Kijów i jego mieszkańcy. Mieczysław Lepecki, legionista, późniejszy adiutant marszałka Pilsudskiego tak o tym pisał:

„Miasto przedstawiało bardzo smutny widok. Nawet w śródmieściu na ładnej ulicy Kresczatki wiele domów było rozbitych pociskami działowymi, a wszystkie były odrapane, brudne. Handel w mieście prawie nie istniał cały koncentrował się na dużych placach przedmiejskich, na których dawniej odbywały się targi. Ludność przestała przyjmować papierowe pieniądze, a ponieważ złoto i srebro z obiegu znikło już od dawna, przeto wszyscy powrócili do dawnych form handlu, do wymiany.

Zubożała przez rewolucję „burżuazja” i inteligencja niosła na targ biżuterię, ubranie i bieliznę, otrzymując w zamian mąkę, kaszę i kartofle. Tymi produktami prawie wyłącznie odżywiają się ludzie w Kijowie za czasów naszej bytności.

Na targach można było dostać wszystkiego. Szumowiny całej Ukrainy zarabowawszy ją gromadziły się w Kijowie i w nim spieniężały swój „krwawo” zapracowany łup. Nie było rzadkością zobaczyć tam bogaty ornat księdza

katolickiego, karabelę, kształtem i ozdobami przypominającą stare pamiątki rodzinne z dworów szlacheckich, złote pierścienie herbowe, kolczyki ze wspaniałymi kamieniami i mnóstwo innych przedmiotów ze szlachetnych metali. A przedmioty te często nosiły jakieś dziwne, rzadkie plamy...

Ludność przechodziła straszliwy kryzys głodowy. Tworze przechodniów zdradzały niezwykle stopień wyczerpania, wynudzenia, ubranie ich składało się z lachmanów i to lachmanów brudnych. Przed naszą intendenturą batalionową przy ulicy Biblikowej w czasie wydawania chleba gromadził się zawsze tłum ludzi, obserwujący w milczeniu niezwykle widok dużej ilości białego chleba. Tak, biało! Biały chleb był podówczas w Kijowie czymś tak niezwykłym jak u nas ananasy lub inne owoce sprowadzane z dalekich stron.

W życiu codziennym nie wyglądało to zachęcająco, ale w sferze militarnej i politycznej Pilsudski odniósł tryumf. Prawdziwe zwycięstwo, które umożliwiała tworzenie zaprzyjaźnionego państwa ukraińskiego na wschodniej granicy. W dniu 16 maja witając na dworcu w Winnicy atamana Petlurę pada mu w objęcia. W białej sali Rady Miejskiej odbywają się spotkania z reprezentantami społeczeństwa. W czasie jednego z nich Pilsudski mówi:

— Polska i Ukraina przeżyły ciężką niewolę. Oba kraje należą do tych, na których panował stały terror. Już dziecko uczono tutaj, aby trzymało na utożsamienie swego myślenia i przysiadanie były stałym udziałem obywateli krajów. Wolna Polska nie może być istotnie swobodna, dopóki naokoło panuje, wciąż hasło niewolniczego poddawania woli narodowej przemo-

strzeń, w tym kraju wielkich obszarów. Przekroczyliśmy Dniepr i mogę iść tak daleko, jak tylko zechcę. Ale w tej chwili nie mam zamiaru iść dalej. My po prostu zabezpieczymy sobie odpowiedni przyczółek mostowy.

Odnosnie polityki rządu ukraińskiego w Żytomierzu zauważył marszałek: Jest to eksperyment. Rzecz się tak przedstawia, skoro ja — że się tak wyrażę — jestem tym, który Polskę wciągnął w to przedsięwzięcie, to mogę powiedzieć, że daję teraz Ukraincom możliwość. Jeśli im się uda, to się uda, nie osiągną sukcesu, to nie będą go mieć. Są dwa sposoby, by nauczyć ludzi pływania. Wolę sposób rzucania ich na głęboką wodę i zmuszenia, by pływali. To właśnie robię z Ukraincami.

W dalszej rozmowie przeszedł Marszałek do sprawy jeńców bolszewickich. Wtrąciłem: Dowiaduję się, że ma ich Pan zamiar uwolnić. Tak — odpier — jest to eksperyment. Nie jest rzeczą łatwą odesłać 30 000 z powrotem do Czerwonej Armii, ale mamy zamiar to zrobić. Nie wiem, czy to da dobry wynik, ale bardzo lubię eksperymenty.

A do Kijowa przyjeżdża sam ataman Petlura. To on jest głównym oponentem utworzenia państwa ukraińskiego niezależnego od Rosji Radzieckiej i Polski. To on jest jednym z pierwszych twórców tendencji, które otworowały drogę nacjonalistom.

Przyjazd ten i powitanie ogląda Mieczysław Lepecki, a potem tak opisuje:

„Nic też dziwnego, że wiadomość o przyjeździe twórcy tej idei, atamana Petlury, przyjęto z wielką radością. Wszyscy chcieli go zobaczyć, wielu przypuszczało, że jego przyjazd przyniesie im polepszenie losu, a wszyscy spo-

nerali wykonany. Powtórnie wysłany przez Hallera 9 czerwca widać w dalszym ciągu brzmiał niezbyt jasno, skoro Smigły nadal uważał, że nawet otoczony zewsząd przez nieprzyjaciela potrafi utrzymać się i obronić w Kijowie. Prosił, by Naczelną Wódz podpisał rozkaz osobiście.

Pilsudski robi to 10 czerwca. Zgodnie z treścią jego rozkazu miał Smigły iść szybkim marszem, wypierając Budionnego do linii Korosteń-Zytomierz. Polecono mu maszerować zwartymi kolumnami, dla których ataki kawalerii nie są groźne. Pilsudski precyzuje jednak rozkaz także dwuznacznie.

„Przypominam generałowi, że właśnie przy cofaniu się należy wykazać najsilniejsze napięcie woli, które w tym wypadku jest konieczne. Wszelkie sentymenty proszę odrzucić na bok. Będzie to dla generała Ułina na wielką skalę. A przede wszystkim żadnych wahań i opóźnień, bo te są najgorsze. Powtarzam raz jeszcze, że Kijowa nie będę trzymał, nawet gdyby generał tam się obronił... Przede wszystkim marsz musi być ostry. Szczęściem naszym i naszym taki będzie, jeżeli napotkacie skoncentrowanego Budionnego.”

I tu zaszło nieporozumienie. Smigły nie zrozumiał rozkazu Pilsudskiego jako rozkazu do walki z konną armią. Wskazówka, by wziął przykład z Ułina, nie była, nie mogła być interpretowana jako rozkaz do natarcia. Przeciwnie pod Uliną Pilsudski wymknął się luką między liniami kawalerii rosyjskiej i armii austriackiej unikając starcia, w którym ze względu na słabość sił nie mógł zwyciężyć.

A więc odwrót. Huk wysadzanych mostów na Dnieprze budzi mieszkańców Kijowa wczesnym rankiem 10 czerwca. Z początku nie bardzo rozumieją, co się stało. Sytuacja powoli się wyjaśnia. Ulicami ciągnie na zachód piechota, kawaleria, artyleria. Idą jakby cichcem, jakby zawstyżeni. Trudno w nich poznać tego samego żołnierza, który parę dni temu defilował z takim fasonem — 3 armia generała Smigłego wycofuje się.

Przeprawa przez rzekę Irpień trwa całą noc. O godzinie 6 rano dnia następnego Polacy docierają nad grząską, rozlaną rzekę Dźwinę. Mosty pod Borodziańską są w rękach Armii Czerwonej. Straż przednia próbuje je forsować z marszu. Nie udaje się to. Cała 3 armia zatrzymuje się. Na przestrzeni dwudziestu kilometrów stoją pociągi wiozące dywizje i pułki. Przez cały dzień toczy się bitwa o przeprawy. Rozgwar bitewny niesie się daleko ponad polami Ukrainy. Dopiero noc przynosi ulgę. Smigły ze sztabem armii przechodzi na zdobyty brzeg. Ale drogę muszą sobie torować dalej. Walka zostaje wznowiona. Kronikarz notuje:

„Przed świtem bój rozgorzał ponownie. Trzeba odrzucić nieprzyjaciela tak daleko, żeby móc w spokoju naprawić mosty na rzece i przeprowadzić pociągi. Smigły nie chce pozostać ani swoich rannych, ani taborów w rękach bolszewików. Rozpoczyna się nasze natarcie. Rozgrane do czerwoności lufy karabinów maszynowych przepalają się w tej i owej kompanii. Baterie artylerii podchodzą tak blisko do Rosjan, że coraz to wał kartaczami. Tyraliery czerwonych, zaszypane huraganem pocisków, przylgnęły wreszcie do ziemi. O godzinie 8 zdobywają nasi Borodziańkę. Stałowy pierścień wojsk rosyjskich osadzających 3 armię jest przerywany.”

Tocząc ciągłe walki Smigły wycofuje swoją armię ku Polsce. Sytuacja na froncie ulega ciągłemu i stałemu pogorszeniu. General cofa się więc dalej. Całą tę operację przeprowadza z wielkim talentem. Pilsudski napisze później, że Rydz-Smigły rozwiązał swe zadanie w sposób nadzwyczajny, i uzna ten odwrót za jeden z najchwałniejszych czynów, jakie armia polska wykonała.

Smigły, jakby uprzedzając tę pochlebną opinię o sobie i żołnierzach mu podległych, powie w rozkazie:

„Pamiętajcie, aby mądrze i dobrze przeprowadzić odwrót, trzeba wykazać więcej wytrwałości ducha i enot żołnierskiej niż przy natarciu. My, 3 armia, spełnimy swe zadanie.”

Niewątpliwie tak, a choć wycofanie się było prawdziwym majstersztykiem, nie mogło już zmienić losów wyprawy kijowskiej, która nieuchronnie zmierzała ku porażce. Siły Tuchaczewskiego i świeżych jednostek liczyły na samej tylko linii frontu 20 dywizji piechoty i 3 dywizje kawalerii. Nie tylko szły naprzód, lecz równocześnie przygotowywały się do wielkiego natarcia, które miało przesądzić o całej kampanii.

Nie jeden Pilsudski zdaje sobie z tego sprawy, lecz także politycy, działacze stronnictw i partii politycznych. W dniu 1 lipca na wniosek prezydenta Rady Ministrów Władysława Grabskiego sejm powołuje Radę Obrony Państwa, w skład której wchodzi: naczelnik państwa, prezydent Rady Ministrów oraz trzech przedstawicieli rządu i trzech przedstawicieli wojska wyznaczonych przez Naczelnego Wodza. Ten fakt odbija się szerokim echem w społeczeństwie. Nastroje poruszenia potęguje wydana 3 lipca odezwa.

„Obywateli Rzeczypospolitej! Ojczyzna w potrzebie! Wrogowie, otaczający nas zewsząd skupili wszystkie siły, aby zniszczyć wywalczoną krwią i trudem żołnierza polskiego niepodległość naszą. Zastępy najeźdźców ciągnących aż z głębi Azji ustępują złamom bohaterów naszego, by rzucić na wieś i miasta i na ementaryzmu polskim rozpocząć swoje straszne panowanie.”

4 lipca (1920 — przyp. red.) rusza potężna ofensywa Armii Czerwonej. Przeciwnik forsuje 6 lipca Berezynę i idzie w kierunku Świecian i Mołodeczna. Tuchaczewski posuwa się 20 kilometrów dziennie. (...)

Oddziały polskie opuszczają Mińsk 11 lipca, Wilno — 14 lipca, Grodno — 19 lipca. W dniu 27 lipca wycofują się z Ossowa, 28 lipca z Białogostu, 29 lipca z Bielska Podlaskiego. Tłumy uchodźców z terenów zajętych ogarnia lęk i beznadzieja rozpacz. (...)

CEZARY LEŻENSKI

Kilka powodów, dzięki którym nie doszło do nieszczęścia

ze str. 1

gdzie przebywało w sumie kilkudziesięciu uczniów.

W pierwszym impulsie dyrektorka zaczęła biec po najmłodszych. Pomogła Teresie Wiśniewskiej wyprowadzić szybko, najkrótszą drogą na boisko, całą IIIa, dziewczętną siostrę dzieci. Choć w klasie na parterze rysował się już sufit, niektórzy maluchy chcieli się zaraz wrócić do zostawionej ławki. Pani dyrektor, pomimo że specjalnie na to uważała, tłukła się przez następnych kilkanaście minut w zrozpaczonej głowie, czy któryś z chłopców nie wyrwał się jednak w zamieszaniu do tyłu. Gdyby to zdołał uczynić, zostałby w klasie przyspany odłamkami walącego się sufitu, wraz ze swoim tornistrem, piórnikami i buciaki na zmianę.

Stałoby się tak prawdopodobnie w chwili, gdy dyrektorka, przekonawszy się o tym, że na piętrze Kazimierz Piaskowski wyprowadza swoich uczniów, i zaraz potem o tym, że do Vc nie można się przedostać, bo drzwi zostały zablokowane — zbiegła za VIIIa na parter, żeby stamtąd, dookoła szkoły, trafić na boisko, pod okna uwieczonych. Wtedy — na schodach — usłyszała głębokie tapanie, i podniósł się wielki tłum kurzu.

Lewy narożnik budynku deformował się coraz bardziej, a Vc pozostawała wciąż uwieczona w sali. Liczyli się teraz sekundy. Na szczęście w okolicy krzątały się instalatorzy, był też nie opodal inspektor szkolny. Błyskawicznie znalazła się drabina, którą podstawiono do okien I piętra. Gdy dyrektorka, okrążywszy szkołę, wpadła pełna najgorszych przeczuć na boisko, ujrzała, jak mężczyźni, ustawiający się na drabinie jeden nad drugim, zaczynają sobie podawać wychodzące po kolei przez okno dzieci. Wszystkie zdały, nikt nie został w sali, nikt nie wypadł w panice z okna. Ostatni zszedł po drabinie nauczyciel, Zdzisław Godlewski.

Zaraz potem nastąpiła ostateczna katastrofa.

Dwa skrajne pomieszczenia, przylegające do bocznej ściany budynku, zawaliły się całkowicie. W korytarzach na parterze i na piętrze, gdzie przed kilkunastu minutami wybiegały z klas dzieci, zawisły oberwane stropy. Ze ścian frontowych wypadły futryny, do zdruzgotanych wnętrz zajaśniało blade, listopadowe niebo. Meble, pomoce szkolne, ławki i tornistry znalazły się pod gruzami. Na ścianie, sterczącej samotnie na wysokości dwóch kondygnacji, bez sufitów i podłóg, pozostał tylko portret Wieszcz. Wiodący teraz z oddali, wisi pionowo, wcale nie przekrzywiony, jakby nie się wokół Niego nie stało.

Na boisku zebrała się tymczasem cała szkoła, łącznie z uczniami, znajdującymi się do niedawna w świetlicy w prawej części budynku, wyprowadzonymi stamtąd przez kuchnię, dzięki Wiesławie Kotlarz. Ponad 250 dzieci, nauczyciele, elektrycy, ludzie z okolicznych domostw. Nastąpiło gorączkowe odliczanie: są wszyscy, nikogo nie brakuje! Istny cud, że w tym zamieszaniu, w ciągu tych raptem 3-4 minut, nikomu nie się nie stało, nikt się nawet nie zadrapał. Najpierw była więc ogromna ulga, a potem — płacz po szkole.

Stała przecież 20 lat. Uczęszczało do niej prawie pół tysiąca dzieci. Była dość skromna, bez sali gimnastycznej (drabinki, przystawione do ściany na korytarzu, stoją teraz pod gołym niebem), ciasna, z dziewczęciami tylko salami lekcyjnymi, z zajęciami częstotliwymi w świetlicy, częstotliwymi w stołówce. Ostatnie lekcje kończyły się w niej późno, o 5-tej po południu, bo oddziałów aż dziewiętnaście, więc praca na dwie zmiany. Pomysłano jednak o rozbudowie szkoły. Powstał społeczny komitet, który zebrał już 3 miliony, a oprócz pieniędzy zadeklarował chętną pomoc przy rozbudowie.

Nie skończyło się na samych

deklaracjach. Mieszkańcy Tuchowa, położonego ok. 30 km na północny-zachód od Płocka, wzięli się do roboty, pomagając pracującą tu koparkę. Dzień po dniu powiększał się głęboki na ponad 2 metry wykop pod fundamenty planowanego skrzydła, mającego pomieścić 4 nowe izby lekcyjne. W ostatnim tygodniu przed katastrofą wykop przybliżył się do murów szkoły na tyle, że w lewej części budynku odsłonięte zostały jej fundamenty. W czwartek, 10 listopada 1988 r., doszło do nieszczęścia.

Inspektor Państwowej Inspekcji Pracy z Bydgoszczy, Kamil Biedrzycki, nie jest do końca pewny, czy poznano już wszystkie przyczyny katastrofy, ale za główną jej przyczynę uważa z całą pewnością zbyt dużą bliskość wykopu.

Nikt — powiada — nie podkopywał się tak głęboko w bezpośredniej bliskości istniejącego budynku, nie zabezpieczając przedtem w jakiś sposób jego fundamentów. To, co tutaj zrobiono, jest z punktu widzenia fachowości skandalizujące.

Pomagający w budowie mieszkańcy wsi pracowali pod teoretycznym nadzorem prywatnej spółki budowlanej „Budry” z Lipna. Milicja prowadzi w tej sprawie śledztwo. Niektórzy w Tuchowie twierdzą po cichu, że budowano za bardzo na łapu capu, zbyt improwizując, byle tylko posuwać się szybko do przodu.

We wtorek, 15 listopada, przy odgruzowywaniu szkoły pracuje 25 żołnierzy, przybyłych do Tuchowa na prośbę naczelnika gminy Prace te nadzoruje chorąży Rakowski, który wyraża się z uznaniem o szybskości, z jaką ewakuowane zostały dzieci.

— Nauczycielka z dołu nie zdążyła nawet zabrać ze sobą torebki. Znaleźliśmy ją pod gruzami, razem z 50 tysiącami złotych s'ładkowych pieniędzy. Jest też sporo buciaków, tornistrów, wszystkich mocno zniszczonych.

Gapie, przyglądający się pracy żołnierzy, potwierdzają opinie chorążego, nauczyciele spisałi się na medal, wykazali prawdziwą przytomność umysłu. Pomogli im jednak okoliczności. Zwykle jest tak, że pisze się o wyjątkowo niekorzystnym s'łowie okoliczności, który pogorszył sytuację. Tym razem wypadła nakreślić okoliczności korzystne, które sprawiły, że

można raczej mówić o szczęściu w nieszczęściu.

Najpierw więc, że przyszło pierwsze ostrzeżenie w postaci samolotu, który przemknął nad szkołą, wywołując nie słyszane wcześniej, głośnie wibracje murów. Kto wie — może to właśnie ów samolot uczulił przebiegających w szkole na podejrzane dźwięki?

Po wtore, że wcześniej niż zwykle, już na szóstej godzinie lekcyjnej przestała pracować koparka. Gdyby nie zaprzestanie pracy, jej bardzo głośny terkot skutecznie by zagłuszył wszelkie trzeszczenie.

Po trzecie wreszcie, że w Gminnym Ośrodku Kultury odbywała się właśnie próba akademii z okazji 70-lecia odzyskania niepodległości. Uczestniczyło w niej 20 dzieci ze szkoły — o tyle samo było ich mniej w momencie ewakuacji.

I dopiero po czwarte, że nie doszło do paniki.

Zajęcia w szkole są zawieszane. Starsze klasy powrócą do nauki najprawdopodobniej 21 listopada, w salach ośrodka kultury. Młodsze będą musiały poczekać, aż doprowadzi się do porządku prawa, nie zniszczoną część budynku, i zabezpieczy we właściwy sposób gruzowisko.

Straty szacuje się na ok. 40 mln zł. Nie wiadomo, kiedy przystąpi się do odbudowy.

ANDRZEJ GĘBAROWSKI

Ta nie jest zbyt apetyczny widok. Fragmenty ludzkiego ciała pokryte czarnymi białkami, specjale i zniekształcone. Jedne miejsca naturalnie obrzmiałe, inne — bez skóry, wypalone do mięśni i ścięgien. Szybko przetrucam zdjęcie.

— Nie tak nerwowo, to tylko stare zdjęcia... — mówi doktor Cezary Peszyński-Drewny. — Te bardziej drastyczne, choć jeszcze ciekawsze przypadki zostawiłem na później...

— Jak duży procent ciała może mieć człowiek oparzony, by istniał cień szansy na przeżycie?

— Szansa istnieje nawet przy oparzeniach obejmujących 90 i więcej procent ciała pacjenta. Tę szansę daje się choremu jednak wyłącznie w specjalistycznych ośrodkach leczenia oparzeń. Władze placówki istnieją w Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i w Związku Radzieckim, a w ostatnich latach furorę robi tak zwana chińska metoda leczenia oparzeń.

— Czytałem kiedyś o osiągnięciach jugosłowiańskich lekarzy...

— Zgadza się. Lekarze z ośrodka w Marienborze w latach sześćdziesiątych jako

ulęg pacjentowi przy ogromnym zaangażowaniu całego personelu, nie są w stanie mieć takich osiągnięć jak niemal wszystkie z wspomnianych, zagranicznych ośrodków. Nasze nie mają po prostu warunków do poprawy smutnej statystyki...

— Ile poparzonych u nas nie przeżywa? Dysponujemy takimi danymi?

— U nas nie ma praktycznie statystyki poparzonych, nie można jej ilości precyzyjnie uchwycić, nawet zgonów. Są to przypadki „rozdrobnione”, bo pacjenci z poparzeniami przebywają (i często już tam zostają) na chirurgii, intensywnej terapii, ortopedii, chirurgii dziecięcej lub plastycznej. Oficjalnie dane mówią o 500 osobach, które w ciągu roku umierają z powodu poparzeń. Ale to nieprawdziwe, zafałszowane statystyki. W takim 1965 roku w Stanach Zjednoczonych zmarło z tego powodu około 11 tysięcy osób. W tym czasie, gdy u nas ponoc tylko 500 ofiar odnotowano, w Anglii czy Francji umiera ponad 2 tysiące oparzonych. Przy nieporównywalnie lepszej opiece medycznej.

— Czy to prawda, że w Polsce nie ma nawet takiej specjalizacji?

— Najkrócej: łóżko, specjalnej konstrukcji, na którym chore nie dotyka przez cały czas powierzchnią ciała do materaca. Materac jest ruchomy, „płynny”. To znaczy składa się z dziesiątków nadmuchiwanich i na przemian opróżnianych komór, a w nowoczesnych konstrukcjach można tak zaprogramować „pracę” materaca, że poparzone części ciała w ogóle doń nie dotykają. W opisywanym segmencie musi się też znaleźć łazienka ze specjalną wanną, do której takim perystaltycznym łożkiem można wejść.

— Czy to prawda, że w Polsce nie ma nawet takiej specjalizacji?

Zeby uratować człowiekowi poparzonemu życie trzeba wysoce specjalistycznego ośrodka leczniczego. Kiedy taki ośrodek powstanie w Polsce?

Jak człowiekowi zmienić skórę?

Rozmowa z doktorem CEZARYM PESZYŃSKIM-DREWS — chirurgiem plastycznym.

— Fakt. Lekarze kompartmenty nie istnieją, a minister zdrowia, mniejsza o to, który, nie zezwolił na stworzenie takiej leśkiej specjalności.

— Jakże mamy możliwości wyleczenia poparzonych. Wspominał, że na świecie notuje się przypadki uratowania pacjentów mimo poparzeń przekraczających nawet 90 procent powierzchni ciała.

— U nas, w istniejących warunkach, granica przeżycia sięga zaledwie 50 procent powierzchni.

— Brak metody czy warunków?

— Inaczej: znane są metody, ale mógłbym je wykorzystać skutecznie w innych niż się to obecnie praktykuje warunkach.

— Na czym owe warunki mają polegać, przecież takie ośrodki istnieją?

— Oczywiście! A więc taki kompleks, powiedzmy — segment dla ciężko poparzonego musi spełniać jeden podstawowy warunek: musi zapewniać maksymalną jałowość w każdym etapie leczenia.

— Chory jest praktycznie odosłonięty dla różnego rodzaju wirusów, zarazków, bakterii?

— Właśnie. Na znacznych płaszczynach ciała chorego nie posiada wcale lub ma martwą skórę, która jest naszą naturalną osłoną przed najróżniejszymi mikroorganizmami.

— A jak to wygląda u nas? Dojdziemy i do Polski.

— Tylko po kolei. W latach pięćdziesiątych istniało już po kilka specjalistycznych ośrodków leczenia oparzeń w ZSRR, Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, uruchomiono takie oddziały w Czechosłowacji — w Pradzie, później — na Węgrzech i w Rumunii. U nas od 1952 roku istniał, przeznaczony dla poparzonych, oddział w Klinice Chirurgii Instytutu Hematologii w Warszawie.

— A obecnie?

— Dział oddział w Siemionowicach Śląskich, w Poznaniu — w Klinice Chirurgii Urazowej Akademii Medycznej, w Warszawie — w Klinice Centrum Medycznego Kształcenia Podyplomowego, a także — w szpitalu wojskowym w stolicy.

— Jak to ocenić? Dobrze jest czy źle?

— W każdym niemal szpitalu, z gminnym włącznie, pokazał ci, a nawet wykazał w statystykach — łożko dla poparzonego. Ale to nic nie znaczy! Nawet te wspomniane placówki, choć przynoszące pomoc i

sonel przy każdorazowym wejściu będzie zmieniał odzież. Szalenie ważne jest przestrzeganie przez personel pewnych, lekceważonych na innych oddziałach rygorów pracy. A także idealny stan zdrowia. Idealny — w sensie dosłownym. Nie może się zdarzyć, że pracując w tej części ośrodka powiadzmy salowa będzie miała nie wyleczone zęby czy zjawi się w pracy z katarrem lub stanem podgorączkowym. A więc szczegółowa kontrola, ale i szalona samodyscyplina zatrudnionych osób, a co za tym idzie — stresy, szczególnie obciążenia psychiczne.

— Nakłamałem się na określenie: łożko perystaltyczne. Cóż to oznacza?

— Najkrócej: łożko, specjalnej konstrukcji, na którym chore nie dotyka przez cały czas powierzchnią ciała do materaca. Materac jest ruchomy, „płynny”. To znaczy składa się z dziesiątków nadmuchiwanich i na przemian opróżnianych komór, a w nowoczesnych konstrukcjach można tak zaprogramować „pracę” materaca, że poparzone części ciała w ogóle doń nie dotykają. W opisywanym segmencie musi się też znaleźć łazienka ze specjalną wanną, do której takim perystaltycznym łożkiem można wejść.

— Czy to prawda, że w Polsce nie ma nawet takiej specjalizacji?

— Najkrócej: łożko, specjalnej konstrukcji, na którym chore nie dotyka przez cały czas powierzchnią ciała do materaca. Materac jest ruchomy, „płynny”. To znaczy składa się z dziesiątków nadmuchiwanich i na przemian opróżnianych komór, a w nowoczesnych konstrukcjach można tak zaprogramować „pracę” materaca, że poparzone części ciała w ogóle doń nie dotykają. W opisywanym segmencie musi się też znaleźć łazienka ze specjalną wanną, do której takim perystaltycznym łożkiem można wejść.

— Czy to prawda, że w Polsce nie ma nawet takiej specjalizacji?

— Najkrócej: łożko, specjalnej konstrukcji, na którym chore nie dotyka przez cały czas powierzchnią ciała do materaca. Materac jest ruchomy, „płynny”. To znaczy składa się z dziesiątków nadmuchiwanich i na przemian opróżnianych komór, a w nowoczesnych konstrukcjach można tak zaprogramować „pracę” materaca, że poparzone części ciała w ogóle doń nie dotykają. W opisywanym segmencie musi się też znaleźć łazienka ze specjalną wanną, do której takim perystaltycznym łożkiem można wejść.

— Czy to prawda, że w Polsce nie ma nawet takiej specjalizacji?

— Najkrócej: łożko, specjalnej konstrukcji, na którym chore nie dotyka przez cały czas powierzchnią ciała do materaca. Materac jest ruchomy, „płynny”. To znaczy składa się z dziesiątków nadmuchiwanich i na przemian opróżnianych komór, a w nowoczesnych konstrukcjach można tak zaprogramować „pracę” materaca, że poparzone części ciała w ogóle doń nie dotykają. W opisywanym segmencie musi się też znaleźć łazienka ze specjalną wanną, do której takim perystaltycznym łożkiem można wejść.

— Czy to prawda, że w Polsce nie ma nawet takiej specjalizacji?

— Najkrócej: łożko, specjalnej konstrukcji, na którym chore nie dotyka przez cały czas powierzchnią ciała do materaca. Materac jest ruchomy, „płynny”. To znaczy składa się z dziesiątków nadmuchiwanich i na przemian opróżnianych komór, a w nowoczesnych konstrukcjach można tak zaprogramować „pracę” materaca, że poparzone części ciała w ogóle doń nie dotykają. W opisywanym segmencie musi się też znaleźć łazienka ze specjalną wanną, do której takim perystaltycznym łożkiem można wejść.

— Czy to prawda, że w Polsce nie ma nawet takiej specjalizacji?

— Najkrócej: łożko, specjalnej konstrukcji, na którym chore nie dotyka przez cały czas powierzchnią ciała do materaca. Materac jest ruchomy, „płynny”. To znaczy składa się z dziesiątków nadmuchiwanich i na przemian opróżnianych komór, a w nowoczesnych konstrukcjach można tak zaprogramować „pracę” materaca, że poparzone części ciała w ogóle doń nie dotykają. W opisywanym segmencie musi się też znaleźć łazienka ze specjalną wanną, do której takim perystaltycznym łożkiem można wejść.

— Czy to prawda, że w Polsce nie ma nawet takiej specjalizacji?

— Najkrócej: łożko, specjalnej konstrukcji, na którym chore nie dotyka przez cały czas powierzchnią ciała do materaca. Materac jest ruchomy, „płynny”. To znaczy składa się z dziesiątków nadmuchiwanich i na przemian opróżnianych komór, a w nowoczesnych konstrukcjach można tak zaprogramować „pracę” materaca, że poparzone części ciała w ogóle doń nie dotykają. W opisywanym segmencie musi się też znaleźć łazienka ze specjalną wanną, do której takim perystaltycznym łożkiem można wejść.

— Czy to prawda, że w Polsce nie ma nawet takiej specjalizacji?

— Najkrócej: łożko, specjalnej konstrukcji, na którym chore nie dotyka przez cały czas powierzchnią ciała do materaca. Materac jest ruchomy, „płynny”. To znaczy składa się z dziesiątków nadmuchiwanich i na przemian opróżnianych komór, a w nowoczesnych konstrukcjach można tak zaprogramować „pracę” materaca, że poparzone części ciała w ogóle doń nie dotykają. W opisywanym segmencie musi się też znaleźć łazienka ze specjalną wanną, do której takim perystaltycznym łożkiem można wejść.

— Czy to prawda, że w Polsce nie ma nawet takiej specjalizacji?

— Najkrócej: łożko, specjalnej konstrukcji, na którym chore nie dotyka przez cały czas powierzchnią ciała do materaca. Materac jest ruchomy, „płynny”. To znaczy składa się z dziesiątków nadmuchiwanich i na przemian opróżnianych komór, a w nowoczesnych konstrukcjach można tak zaprogramować „pracę” materaca, że poparzone części ciała w ogóle doń nie dotykają. W opisywanym segmencie musi się też znaleźć łazienka ze specjalną wanną, do której takim perystaltycznym łożkiem można wejść.

— Czy to prawda, że w Polsce nie ma nawet takiej specjalizacji?

— Najkrócej: łożko, specjalnej konstrukcji, na którym chore nie dotyka przez cały czas powierzchnią ciała do materaca. Materac jest ruchomy, „płynny”. To znaczy składa się z dziesiątków nadmuchiwanich i na przemian opróżnianych komór, a w nowoczesnych konstrukcjach można tak zaprogramować „pracę” materaca, że poparzone części ciała w ogóle doń nie dotykają. W opisywanym segmencie musi się też znaleźć łazienka ze specjalną wanną, do której takim perystaltycznym łożkiem można wejść.

— Czy to prawda, że w Polsce nie ma nawet takiej specjalizacji?

— Najkrócej: łożko, specjalnej konstrukcji, na którym chore nie dotyka przez cały czas powierzchnią ciała do materaca. Materac jest ruchomy, „płynny”. To znaczy składa się z dziesiątków nadmuchiwanich i na przemian opróżnianych komór, a w nowoczesnych konstrukcjach można tak zaprogramować „pracę” materaca, że poparzone części ciała w ogóle doń nie dotykają. W opisywanym segmencie musi się też znaleźć łazienka ze specjalną wanną, do której takim perystaltycznym łożkiem można wejść.

— Czy to prawda, że w Polsce nie ma nawet takiej specjalizacji?

— Najkrócej: łożko, specjalnej konstrukcji, na którym chore nie dotyka przez cały czas powierzchnią ciała do materaca. Materac jest ruchomy, „płynny”. To znaczy składa się z dziesiątków nadmuchiwanich i na przemian opróżnianych komór, a w nowoczesnych konstrukcjach można tak zaprogramować „pracę” materaca, że poparzone części ciała w ogóle doń nie dotykają. W opisywanym segmencie musi się też znaleźć łazienka ze specjalną wanną, do której takim perystaltycznym łożkiem można wejść.

— Czy to prawda, że w Polsce nie ma nawet takiej specjalizacji?

— Najkrócej: łożko, specjalnej konstrukcji, na którym chore nie dotyka przez cały czas powierzchnią ciała do materaca. Materac jest ruchomy, „płynny”. To znaczy składa się z dziesiątków nadmuchiwanich i na przemian opróżnianych komór, a w nowoczesnych konstrukcjach można tak zaprogramować „pracę” materaca, że poparzone części ciała w ogóle doń nie dotykają. W opisywanym segmencie musi się też znaleźć łazienka ze specjalną wanną, do której takim perystaltycznym łożkiem można wejść.

— Czy to prawda, że w Polsce nie ma nawet takiej specjalizacji?

— Najkrócej: łożko, specjalnej konstrukcji, na którym chore nie dotyka przez cały czas powierzchnią ciała do materaca. Materac jest ruchomy, „płynny”. To znaczy składa się z dziesiątków nadmuchiwanich i na przemian opróżnianych komór, a w nowoczesnych konstrukcjach można tak zaprogramować „pracę” materaca, że poparzone części ciała w ogóle doń nie dotykają. W opisywanym segmencie musi się też znaleźć łazienka ze specjalną wanną, do której takim perystaltycznym łożkiem można wejść.

— Czy to prawda, że w Polsce nie ma nawet takiej specjalizacji?

— Najkrócej: łożko, specjalnej konstrukcji, na którym chore nie dotyka przez cały czas powierzchnią ciała do materaca. Materac jest ruchomy, „płynny”. To znaczy składa się z dziesiątków nadmuchiwanich i na przemian opróżnianych komór, a w nowoczesnych konstrukcjach można tak zaprogramować „pracę” materaca, że poparzone części ciała w ogóle doń nie dotykają. W opisywanym segmencie musi się też znaleźć łazienka ze specjalną wanną, do której takim perystaltycznym łożkiem można wejść.

— Czy to prawda, że w Polsce nie ma nawet takiej specjalizacji?

— Najkrócej: łożko, specjalnej konstrukcji, na którym chore nie dotyka przez cały czas powierzchnią ciała do materaca. Materac jest ruchomy, „płynny”. To znaczy składa się z dziesiątków nadmuchiwanich i na przemian opróżnianych komór, a w nowoczesnych konstrukcjach można tak zaprogramować „pracę” materaca, że poparzone części ciała w ogóle doń nie dotykają. W opisywanym segmencie musi się też znaleźć łazienka ze specjalną wanną, do której takim perystaltycznym łożkiem można wejść.

— Czy to prawda, że w Polsce nie ma nawet takiej specjalizacji?

— Najkrócej: łożko, specjalnej konstrukcji, na którym chore nie dotyka przez cały czas powierzchnią ciała do materaca. Materac jest ruchomy, „płynny”. To znaczy składa się z dziesiątków nadmuchiwanich i na przemian opróżnianych komór, a w nowoczesnych konstrukcjach można tak zaprogramować „pracę” materaca, że poparzone części ciała w ogóle doń nie dotykają. W opisywanym segmencie musi się też znaleźć łazienka ze specjalną wanną, do której takim perystaltycznym łożkiem można wejść.

— Czy to prawda, że w Polsce nie ma nawet takiej specjalizacji?

— Najkrócej: łożko, specjalnej konstrukcji, na którym chore nie dotyka przez cały czas powierzchnią ciała do materaca. Materac jest ruchomy, „płynny”. To znaczy składa się z dziesiątków nadmuchiwanich i na przemian opróżnianych komór, a w nowoczesnych konstrukcjach można tak zaprogramować „pracę” materaca, że poparzone części ciała w ogóle doń nie dotykają. W opisywanym segmencie musi się też znaleźć łazienka ze specjalną wanną, do której takim perystaltycznym łożkiem można wejść.

— Czy to prawda, że w Polsce nie ma nawet takiej specjalizacji?

— Najkrócej: łożko, specjalnej konstrukcji, na którym chore nie dotyka przez cały czas powierzchnią ciała do materaca. Materac jest ruchomy, „płynny”. To znaczy składa się z dziesiątków nadmuchiwanich i na przemian opróżnianych komór, a w nowoczesnych konstrukcjach można tak zaprogramować „pracę” materaca, że poparzone części ciała w ogóle doń nie dotykają. W opisywanym segmencie musi się też znaleźć łazienka ze specjalną wanną, do której takim perystaltycznym łożkiem można wejść.

— Czy to prawda, że w Polsce nie ma nawet takiej specjalizacji?

— Najkrócej: łożko, specjalnej konstrukcji, na którym chore nie dotyka przez cały czas powierzchnią ciała do materaca. Materac jest ruchomy, „płynny”. To znaczy składa się z dziesiątków nadmuchiwanich i na przemian opróżnianych komór, a w nowoczesnych konstrukcjach można tak zaprogramować „pracę” materaca, że poparzone części ciała w ogóle doń nie dotykają. W opisywanym segmencie musi się też znaleźć łazienka ze specjalną wanną, do której takim perystaltycznym łożkiem można wejść.

— Czy to prawda, że w Polsce nie ma nawet takiej specjalizacji?

— Najkrócej: łożko, specjalnej konstrukcji, na którym chore nie dotyka przez cały czas powierzchnią ciała do materaca. Materac jest ruchomy, „płynny”. To znaczy składa się z dziesiątków nadmuchiwanich i na przemian opróżnianych komór, a w nowoczesnych konstrukcjach można tak zaprogramować „pracę” materaca, że poparzone części ciała w ogóle doń nie dotykają. W opisywanym segmencie musi się też znaleźć łazienka ze specjalną wanną, do której takim perystaltycznym łożkiem można wejść.

— Czy to prawda, że w Polsce nie ma nawet takiej specjalizacji?

— Najkrócej: łożko, specjalnej konstrukcji, na którym chore nie dotyka przez cały czas powierzchnią ciała do materaca. Materac jest ruchomy, „płynny”. To znaczy składa się z dziesiątków nadmuchiwanich i na przemian opróżnianych komór, a w nowoczesnych konstrukcjach można tak zaprogramować „pracę” materaca, że poparzone części ciała w ogóle doń nie dotykają. W opisywanym segmencie musi się też znaleźć łazienka ze specjalną wanną, do której takim perystaltycznym łożkiem można wejść.

— Czy to prawda, że w Polsce nie ma nawet takiej specjalizacji?

— Najkrócej: łożko, specjalnej konstrukcji, na którym chore nie dotyka przez cały czas powierzchnią ciała do materaca. Materac jest ruchomy, „płynny”. To znaczy składa się z dziesiątków nadmuchiwanich i na przemian opróżnianych komór, a w nowoczesnych konstrukcjach można tak zaprogramować „pracę” materaca, że poparzone części ciała w ogóle doń nie dotykają. W opisywanym segmencie musi się też znaleźć łazienka ze specjalną wanną, do której takim perystaltycznym łożkiem można wejść.

— Czy to prawda, że w Polsce nie ma nawet takiej specjalizacji?

— Najkrócej: łożko, specjalnej konstrukcji, na którym chore nie dotyka przez cały czas powierzchnią ciała do materaca. Materac jest ruchomy, „płynny”. To znaczy składa się z dziesiątków nadmuchiwanich i na przemian opróżnianych komór, a w nowoczesnych konstrukcjach można tak zaprogramować „pracę” materaca, że poparzone części ciała w ogóle doń nie dotykają. W opisywanym segmencie musi się też znaleźć łazienka ze specjalną wanną, do której takim perystaltycznym łożkiem można wejść.

— Czy to prawda, że w Polsce nie ma nawet takiej specjalizacji?

— Najkrócej: łożko, specjalnej konstrukcji, na którym chore nie dotyka przez cały czas powierzchnią ciała do materaca. Materac jest ruchomy, „płynny”. To znaczy składa się z dziesiątków nadmuchiwanich i na przemian opróżnianych komór, a w nowoczesnych konstrukcjach można tak zaprogramować „pracę” materaca, że poparzone części ciała w ogóle doń nie dotykają. W opisywanym segmencie musi się też znaleźć łazienka ze specjalną wanną, do której takim perystaltycznym łożkiem można wejść.

— Czy to prawda, że w Polsce nie ma nawet takiej specjalizacji?

— Najkrócej: łożko, specjalnej konstrukcji, na którym chore nie dotyka przez cały czas powierzchnią ciała do materaca. Materac jest ruchomy, „płynny”. To znaczy składa się z dziesiątków nadmuchiwanich i na przemian opróżnianych komór, a w nowoczesnych konstrukcjach można tak zaprogramować „pracę” materaca, że poparzone części ciała w ogóle doń nie dotykają. W opisywanym segmencie musi się też znaleźć łazienka ze specjalną wanną, do której takim perystaltycznym łożkiem można wejść.

— Czy to prawda, że w Polsce nie ma nawet takiej specjalizacji?

— Najkrócej: łożko, specjalnej konstrukcji, na którym chore nie dotyka przez cały czas powierzchnią ciała do materaca. Materac jest ruchomy, „płynny”. To znaczy składa się z dziesiątków nadmuchiwanich i na przemian opróżnianych komór, a w nowoczesnych konstrukcjach można tak zaprogramować „pracę” materaca, że poparzone części ciała w ogóle doń nie dotykają. W opisywanym segmencie musi się też znaleźć łazienka ze specjalną wanną, do której takim perystaltycznym łożkiem można wejść.

— Czy to prawda, że w Polsce nie ma nawet takiej specjalizacji?

— Najkrócej: łożko, specjalnej konstrukcji, na którym chore nie dotyka przez cały czas powierzchnią ciała do materaca. Materac jest ruchomy, „płynny”. To znaczy składa się z dziesiątków nadmuchiwanich i na przemian opróżnianych komór, a w nowoczesnych konstrukcjach można tak zaprogramować „pracę” materaca, że poparzone części ciała w ogóle doń nie dotykają. W opisywanym segmencie musi się też znaleźć łazienka ze specjalną wanną, do której takim perystaltycznym łożkiem można wejść.

— Czy to prawda, że w Polsce nie ma nawet takiej specjalizacji?

— Najkrócej: łożko, specjalnej konstrukcji, na którym chore nie dotyka przez cały czas powierzchnią ciała do materaca. Materac jest ruchomy, „płynny”. To znaczy składa się z dziesiątków nadmuchiwanich i na przemian opróżnianych komór, a w nowoczesnych konstrukcjach można tak zaprogramować „pracę” materaca, że poparzone części ciała w ogóle doń nie dotykają. W opisywanym segmencie musi się też znaleźć łazienka ze specjalną wanną, do której takim perystaltycznym łożkiem można wejść.

— Czy to prawda, że w Polsce nie ma nawet takiej specjalizacji?

— Najkrócej: łożko, specjalnej konstrukcji, na którym chore nie dotyka przez cały czas powierzchnią ciała do materaca. Materac jest ruchomy, „płynny”. To znaczy składa się z dziesiątków nadmuchi

Safona z Lesbos nie była pierwszą lesbijką w dziejach rodzaju żeńskiego. Jej imię i ojczyzna dają jedynie nazwy niegroźnej dewiacji erotycznej. Homoseksualizm kobiety powszechnie określa się mianem safizmu lub miłości lesbijskiej.

Wyspa grecka, której wszystkie mieszkanki nominalnie są Lesbijkami, znajduje się we wschodniej części Morza Egejskiego. Od wybrzeża azjatyckiego oddziela ją cieśnina Mitilini i Musellin. Obszar Lesbos (1750 km kw.) jest niewiele większy od województwa łódzkiego. Powierzchnia ma charakter górzysty (do 980 m n.p.m.). Ludność zamieszkuje się m.in. uprawą oliwek, winogrodzi, drzew cytrusowych, fig, migdałowców oraz polowaniem ryb i gamek.

Na przełomie XI i X wieku p.n.e. wyspę zasiedlili Grecy Eolowie, którzy początkowo zamieszkiwali głównie Tesalię. Przybyli założyli pięć państw: Metymne, Eresos, Antisse, Pyrrę i Mitilene. To ostatnie w VI stuleciu p.n.e. współzawodniczyło z Atenami o panowanie nad cieśniną Hellespont. A podczas wojny peloponeskiej usiłowało oderwać się od Ateńskiego Związku Morskiego, za co zapłaciło straszliwą cenę. Tukidydes pisze:

Urok ciała kobiecego pociąga nie tylko mężczyzn. Nierzadko działa podobnie również na kobiety...

Smutek miłości lesbijskiej

MIROSLAWA SARBINSKA

„Wszystkich tych, których Pachos odesłał do Aten jako głównych sprawców buntu, zabili Ateńczycy na uniosek Kleona: było ich nieco ponad tysiąc. Następnie zburzyli Ateńczyki mury Mitileny i skonfiskowali okręty. Na przyszłość nie nałożyli żadnej podatki na Lesbijków, lecz podzieliwszy wyspę — z wyjątkiem terytorium Metymny (jedynie miasto na wyspie, które pozostało wierne Ateńczykom M.S.) — na trzy części: jedną, trzecią z nich poświęcili bogom, resztę zaś przynieśli dla swych osadników wybranych losem; dla tych kolonistów ziemię uprawiali nadal Lesbijkicy, lecz za każdą działkę musieli płacić roczną czynsz dzierżawny w wysokości dwóch min (srebrna moneta ateńska wagi 436,3 g i licząca 100 drachm — M.S.) Ateńczycy objęli również miasta na lądzie stałym, należące dotąd do Mitilenczyków: oddali podległość one Ateńczykom. Taki obrót wzięły sprawy na Lesbos”.

Nie wiemy, kiedy dokładnie przyszła na świat Safona.

W każdym razie pod koniec VII wieku p.n.e. (Peter Green podaje rok 618 a Nikos Chaidnikolau — 628). Urodziła się (według innych źródeł w Mitilene); lecz od dzieciństwa mieszkala na stałe w Mitilene. Bardzo wcześnie straciła ojca, Stamandrosa. Wychowaniem jej i trzech braci zajmowała się matka, Kleis.

W owych czasach greckie miasta państwa zmierzwały poprzez rewolucje i tyranie do ustroju oligarchicznego do demokracji opartej na niewolnictwie. Władza przechodziła z rąk ziemiańskich arystokracji rodowej do nowej klasy przemysłowców i kupców. W okresie przejściowym masy ludowe popierały tyrany. Prawie wszędzie toczyły się krawawie walki.

Safona pochodziła z rodu arystokratycznego i popierała dawny ustrój. Nie mogąc znieść władzy tyranów, angażowała się w działalność spiskową. Z tego powodu dwukrotnie została wygnana z ojczyzny. Najpierw udała się do Pyrry (w innej wersji wyspy); a później — na Sycylię, gdzie przebywała pięć lat. Poślubiła tam bogatego kupca Kerkliasa z Andros i wróciła z nim do Mitileny.

W rodzinnym mieście utworzyła szkołę dla dziewcząt z arystokratycznych rodów. Młode panny uczyły się poezji, muzyki, tańca i dobrych manier. Legenda głosi, że instytucja ta miała dwuznaczny cha-

rakter, ponieważ Safona kochała się z wychowankami.

Nie wszyscy jednak badacze są przekonani, że Safona była lesbijką. Pewien filolog niemiecki uważa, że tak dystygnowana dama, żona i matka nie mogła się kochać w kobietach. Natomiast grecki historyk literatury, Yannis Kordatos, doszedł do wniosku, że miłość lesbijska była wtedy „somałtyczną koniecznością”. Wiele mężczyzn skazano bowiem na banicję. Od siebie dodam, że dotyczyło to głównie Lesbijków z kręgów arystokratycznych.

Safona była wielką poetką. Obok jej rówieśnika, Alkajosa, jest najwybitniejszą przedstawicielką liryki eolskiej. Nieścisły, ogromna większość utworów Safony zaginęła. W chrześcijańskim Bizancjum w 380 roku spalono jej książki. Kościół dał jej za życia wszystkie biblioteki klasztorne.

Jeśli poetka była lesbijką, powinno to znaleźć jakiś wyraz w zachowanych utworach. Współczesny pisarz angielski i krytyk literacki Peter Green ma w tej sprawie następujące zdanie:

„Ktokolwiek podejrzewa o dzieła Safony stosunkowo bezstronnie, będzie musiał przyznać, że łączyły ją gwałtowne i namiętne wleczy z innymi kobietami. Czy jej inklinacje zna-

ły pełny wyraz fizyczny, to kwestia, która i tak nigdy nie może być rozstrzygnięta, pozostaje więc w dużej mierze z punktu widzenia historii kwestii akademicką”.

W postscriptum do swej powieści „Śmiech Afrodyty” Peter Green zaznacza, że starał się odtworzyć wizerunek Safony tak wiernie, jak na to pozwalają istniejące dane. Już na 20 stronie spotykamy opis lesbijskich pieszczot między podstarzałą panią i młodą niewolnicą, Talią. Safona ma jeszcze wysoko osadzone, jedne pierś, wysmukłe uda, gładki brzuch. Niewolnica umyła ją w łazni, rozpuściła i wyszczołkowała włosy, i przystąpiła do pudrowania ciała.

„Już czas, dosyć — pomyślała — wjechać jej rękę, strzepując odrobinkę talku na swoje pierś i prowadząc ją palcem, by go wygnęła. Szlochała bezgłośnie, gdy spływały z jej szeroko rozstawionych oczu; usunęłam drugą rękę z wycięcie jej sukni i zaczęłam wycierać wysoko osadzone młode pierś, aż zaczęły przynęcać pod moimi palcami i wargi jej od ruchów wyciągnęły się ku moim ustom, i poczułam stony smak jej też”.

Podczas wygnania na Sycylii młoda Safona zakochała się w pięknej mężatce Chloe.

Była to miłość wzajemna od pierwszego wejrzenia. Safona wspomina:

„Byłam głęboko świadoma każdego jej ruchu: gestu, jakim podnosiła do ust puchar (nie nosiła pierścieni prócz gładkiej złotej obrączki ślubnej), kąta nachylenia jej głowy i szyi, jej rozchylonych ust na brzegu pucharu, którego tęczona srebrna powierzchnia pokrywała spód jej namiętności i palców. Jej gorzko-słodkie perfumy lekko mnie drażniły, wypełniały moje nozdrza; wciągałam ten zapach zachłannie, jak gdyby był częścią jej ciała, rzucałam ukośne spojrzenia na krągłość jej piersi, na jej udo obok mojego, ocenione zielonym materiałem letniej sukni, lekko rozplątane w miejscu, gdzie dotykała swymi kanapami; oszłamona swoimi reakcjami, lecz nie przestraszona nimi, wcale nie, przestraszona, rozkoszowałam się gorącymi uczuciami, które przelewały się przeze mnie, przelatywały, że życie może być takie diamentowo-olśniewające i tak proste”.

Potem zielonością Chloe w jasnozielonej sukni przyszła do

Safony do łóżka. Wzięła ją czule w ciepłe ramiona, zaczęła całować w świetle księżyca Safonie wydawało się, że to czarodziejska Kirke. Miała obfite piersi i gładkie ciało.

W ściśle fizycznym sensie Chloe była pierwszą kochanką powieściowej Safony. Ale już wcześniej odczuwała ona pociąg erotyczny do dziewcząt. Kiedyś ogarnęło ją silne podniecenie na widok nagiej niewolnicy w kąpiel. Safona miała wówczas 14 lat, a niewolnica Praksyna 18.

Pewnego razu Chloe i jej mąż zostali porwani i zamordowani przez bandytów. Safona była wstrząśnięta, ale po przyjeździe z pogrzebu pokochała się z służącą Chloe. Dlaczego to zrobiła? Ponieważ tajemnicę śmierci i tworzenia są ciasno splecione...

„Po powrocie z pogrzebu odczuwałam wzmożoną pobudliwość seksualną. Niechętnie się do tego przyznaję, jednakże to prawda. A hiszpańska służąca Chloe, Elwira, była częścią Chloe — naszą noc miłosną było w pewnym sensie aktem żałoby i pożegnania”.

Przed osiągnięciem wieku średniego tylko kobiety budziły w niej wielką namiętność. Do mężczyzn nie czuła gwałtownego wstępu; po prostu nie podniecała ich. Myśl o utracie dziewictwa napawała ją zawsze smutkiem. Szczególną ciężej darzyła boginię Afrody-

tę — dziewczęcą i nieśmiertelną. W świątyni Afrodyty kapłanka odmawiała modlitwę głosem młodego chłopca:

Królowo Niebios,
Matko i Dziewico,
Gwiazdo Zaranna,
Z piany powstała,
Matko pór roku,
Uwielbiona i wielbiąca,
Świąta nad świętymi,
Pani światła...

Safona nie była typową lesbijką, lecz osobą biseksualną.

Kochała wprawdzie kobiety, ale utrzymywała stosunki seksualne z mężczyznami. Wyszła za mąż, urodziła córke. Bardzo cenila życie. I nie mogła żyć bez miłości. Pisała, że śmierć jest nieszczęściem. Gdyby było inaczej, to bogowie sami umieraliby. W niedawnym wydaniu tomiku jej wierszy czytamy między innymi:

Zaszedł już księżyc,
Płazący też. Północ mija.
Czas przechodzi obok
a ja w łóżku sama.

Choczu, marzyła wówczas o chłopcu, czy dziewczęce? Nie wiemy. Sama jednak myśli, że kobieta może pragnąć w łóżku kobiety jest absurdalna i niezrozumiała. Słowo dziewczyna — mówiąc słowami innego jej wiersza — kładzie się na miękkim posłaniu, by „gasić pragnienie dziewczęce”.

„Ale faktem jest, że urok ciała kobiecego pociąga nie tylko mężczyzn. Nierzadko działa podobnie również na kobiety. Mają ochotę dotknąć, przytulić się, pocałować...”

Kobiety częściej niż mężczyźni mają psychiczną orientację homoseksualną. Nikogo zresztą nie dziwi i nie gorszy, że przyjaźnieli się w łóżku, a przy tym w łóżku. Zupewnie inaczej reagujemy, gdy zachowują się tak mężczyźni. Albowiem wśród mężczyzn jest znacznie więcej zdecydowanych homoseksualistów niż wśród kobiet.

Niektórzy mężczyźni odnoszą wrażenie, że każda kobieta ma skłonność lesbijską. Jest to oczywiście nieprawda. Normalnym kobietom miłość lesbijską wydaje się czymś obcym, budzącym lęk i często wstręt. Z takim samym bądź jeszcze większym wstrętem odnoszą się do pederastów. Safona z powieści Petera Greena odczuwała silną, instynktowną antypatię do homoseksualisty Alkajosa i wszystkich pederastów.

„Kiedy patrzę na jego utrzymywanie — szczególnie na Li-kosa, tego chłopca, z długimi, falistymi włosami, umalowany-

mi oczami, upudrowaną twarzą i szminką na wargach, poruszającymi się drobnymi, afektownymi kroczkami — odczuwam nie tylko odrazę, lecz i zniechęcenie do niego jako do kretury, takiej w jakiś sposób degradującej mnie jako kobietę”.

Mężczyźni o kobiecie urodzonej jest potencjalnym homoseksualistą i podobnie kobieta mająca urodę męską. Jak często tak bywa, nie wiemy, ale taki funkcjonuje stereotyp. I tak się zdarza w życiu. Oto przykład:

Lynn Keefe była piękną kobietą. Stosunki seksualne zawsze sprawiała jej przyjemność. Przez to nawet stała się prostytutką. Bardzo łatwo oddawała się mężczyznom, ale kiedyś poszła do łóżka z kobietą. Uwiodła ją stara kelnerka mająca figurę, twarz i maniery „młodego hipopotama”.

Lynn Keefe czytała dużo o Safonie i Lesbijkach. Nie miała nic przeciw temu. Chciała koniecznie stwierdzić, co daje prawdziwa miłość kobiecie. Gdy więc Doris objęła ją w tali i zaczęła obmacywać tyłek, nie bronila się zbyt energicznie. Zgodziła się przyjąć na filiżankę kawy...

„Ponieważ nie zamierzałam przedłużyć tego wydarzenia, skierowałam się prosto jak po sznurku do podłogowego łóżka, zdjęłam buty i figi; położyłam się i wycekiwałam niecierpliwie na nieuniknione wydarzenie, które miały się zaraz ziszczyć. Nie trwało to długo; Doris zgasiła światło”.

Chciałabym uam całkiem szczerze powiedzieć — wcale nie było to takie przyjemne. Nigdy nie zastąpiłoby mi to mężczyzny, to jasne, ale miałam swoją przyjemność. Przynajmniej chwila. Kiedy Doris włączyła ponownie światło i spojrzałam na jej twarz hipopotama z łóżka z oczami pełnymi łez, zrobiło mi się jednak niedobrze”.

Co robią ze sobą kobiety w łóżku?

Z badań i zwierzeń lesbijek wiadomo, że uprawiają pieszczoty seksualne, namiętnie całują się, onanizują wzajemnie. Czasami pomagają się przy tym sztucznymi przedmiotami. W ostatnim raporcie pt. „Kobiety i miłość” Shere Hite cytuje m.in. taką wypowiedź:

„Lubię seks oralny, ale najfajniejsze jest wtedy, kiedy moja partnerka wchodzi we mnie”.

Shere Hite ustaliła, że odsetek orgazmów jest wyraźnie wyższy u lesbijek niż u kobiet heteroseksualnych. Kontakty między kobietami są bliższe, bardziej zażyłe, oparte na szczerości. Prawie połowa lesbijek żyje w związku trwałym ponad 10 lat. Największym problemem jest zazwyczaj miłość. W niedawnym wydaniu tomiku jej wierszy czytamy między innymi:

Uroda ciebie jest oczy,
dobrze jest wartościową twarzą.
Legenda głosi, że pod koniec życia Safona miała romans z prostym człowiekiem, miejscowym przewoźnikiem, Faonem. Kiedy ukochany ją porzucił i wyjechał na Sycylię, udała się za nim. Po drodze zatrzymała się na wyspie Leukas (na Morzu Jońskim) i skończyła z białych skał do morza.

Na wyspie Leukas, niedaleko świątyni Apollina, znajdowała się skała (610 m n.p.m.) stromo opadająca w morze. Było to rytualne miejsce straceń. Każdego roku rzucono do wody jakiegoś przestępcę jako kozła ofiarnego. Czy w 568 roku p.n.e. popłynęła tu samobójstwo poetka Safona z Lesbos? Uczenni powiadają, że jest to mało prawdopodobna wersja mitologiczna.

O prawdziwym życiu i śmierci patronki lesbijek niewiele wiemy. W ocalałych wierszach przebiega tęsknota i smutek. Może dlatego, że miłość lesbijska jest rzeczywiście smutna, bo skazana na nieteraźliwą i niespełnienie.

Z ławy radnego

Komu potrzebna jednomyślność?

W czasach przesilenia społecznego, politycznych zwykłych „odkrywców” sprawców zainstancji stanu. W poszukiwaniu czynników jednego z wcześniejszych rozgardałów pojawiło się hasło: „wszystkiemu winni dziennikarze”, które sami żurnaliści uznali za przemyślenie oka: „i cykliści”. Ta smutna w gruncie rzeczy anegdota wróciła do mnie czuwając o niedawnej sesji Rady Narodowej miasta Łodzi, gdzie uświadomił sobie, w jaki sposób dajemy esmpt do powstawania tak naiwnych ocen, i nie tylko.

Oto w listopadzie 1988 r. odbyły się dwie sesje Rady Narodowej miasta. Pierwsza, 11 listopada, poświęcona ważkiemu wydarzeniu — powrotu tego znaczącego dla Polaków dnia do kalendarza świąt narodowych; druga, 14 listopada, równie ważna bo dorobca. Pierwsza zakończyła się uchwałą o nadaniu jednemu z nowo budowanych osiedli imienia 70-lecia odzyskania niepodległości, a w nim głównym ulicom imienia Józefa Piłsudskiego, Romana Dmowskiego i Wojciecha Korfańskiego. Następnego dnia w prasie, radiu i TV pojawiły się informacje. Jedne szampowe, nie w pełni oddające prawdę, drugie wręcz nieprawdziwe. Za obie oberwało się dziennikarom solidnie, i słusznie.

Uchwała o nadaniu imienia Józefa Piłsudskiego jednej z głównych co prawda ulic, lecz głównych w przyszłościowym osiedlu, nie przeszła jednomyślnie. Odnawali to niektórzy sprawodawcy, lecz odwołując ten fakt przemilczeli dość istotne — jak na tak ważne wydarzenie — szczegóły. Bodaj to, że zgłoszony przez Prezydium propozycji radni przedstawili kontropropozycje. Było ich kilka i każda nie bez znaczenia. Jedną nawiązywała do przeszłości — damagano się przywrócenia ulicy Wschodniej dawnej nazwy z lat 1928—1939 imienia Marszałka. Inna, nie pozbawiona logiki zakładała przemianowanie ulicy Zachodniej, aby tej ważnej arterii patronowały dwaj Naczelnicy — Kościusko i Piłsudski. Wedle jeszcze innej to aleja Hetmańska na nowym osiedlu 70-lecia zasługiwała na imię Marszałka. Więcej, wskazywano na potrzebę uhonorowania również pięknych postaci — Wincentego Witosa i Macieja Rataja... Słowem — sesja Rady, choć oświeceniowa i podniosła, wcale nie przypominała klasycznej gremium z zasznurowanymi buźkami w ciup.

Wracam do tych istotnych szczegółów z równie istotnych powodów. Za każdym z radnych stoją tysiące jego wyborców i przemilczanie głosu ich reprezentanta oznacza niecierzenie się z opinią społeczną. A opinia społeczna w sprawach przez dziesiątki lat przemilczanych bywa niezwykle drażliwa. Chciałoby się powiedzieć: przewrażliwiona. Daje o sobie znać rozbuchanymi namiętnościami w najmniej spodziewanych okolicznościach i z najmniej spodziewanych odniesień. Tej prawdy pora się nauczyć.

Znalazłem się wśród głoszących przeciwko podjętej uchwale o nadaniu imienia Marszałka jednej z przyszłych głównych ulic przyszłego osiedla nie dlatego, aby odpowiadały mi pozostałe propozycje, aczkolwiek najbliższą wydała mi się przemianowanie ul. Zachodniej. Bliższa, gdyż zawierała pewną koncepcję zwaną z nazewnictwem ulic w ogóle, i nie trafił mi do przekonania argument jednego z zaproszonych gości przypominający radnym podjętą przez to gremium, bodaj w 1983 roku uchwałę, aby nie zmieniać nazw ulic. Nie trafił z dwóch powodów. Po pierwsze: z powodu naiwności rozumowania, przeliczania kosztów przemianowania ulicy na cenę jakiejś być nie może — odzyskania niepodległości państwa zamieszkałego przez kilkudziesięć milionów ludzi. Po drugie — przykładał jakby dają nam nasi sąsiedzi zza Bugu, przywracając dawne nazwy miastom.

Głosowałam także przeciwko nazwaniu imieniem Marszałka ulicy Wschodniej. Nadanie imienia wielkiego (czy to nam się podoba czy nie) człowiekowi ulicy zamieszkałej przez sporo ludzi wadliwego autoramentu jest, wedle mojej oceny, obrazą. Podobnie obraźliwie odebrałem kiedyś przemianowanie ulicy Kamiennej — słynącej niegdyś z dam wątpliwej kondyty — na ulicę Włóknienniczą. Dopiero powołanie się alei Włókniarzy odwróciło uwagę od tej fatalnej supozycji...

Głosowałam i głosowałam przeciw w zawiądywającej neofickiej gorliwości w uwielbieniu Marszałka. Dlatego, że jestem przeciwko półśrodkom, popielaniu i szepianiu półgębkiem o sprawach istotnych, ważnych, znajdujących się na ustach tysięcy. Także dlatego, aby przyswoić naszemu życiu poczucie stabilności, normalności. A nastąpi to wtedy, gdy o sprawach bolesnych i przemilczanych latami będziemy mówili pełnym głosem, bez niedomówień — zwyciężając, aby rozumiał nas świat.

Moje sprawy z najnowszą historią Polski i osobą Marszałka zdołałem sobie — na własny, i nie tylko własny, użytek — uporządkować. Dobrze, że taką okazję mają wszyscy. Tylko czy te liczne prace Józefa Piłsudskiego i o Józefie Piłsudskim, jakie w ostatnich latach pojawiły się na rynku, nikogo z czytelników nie zbulwersowały? Z jednej strony formatem człowiekiem, z drugiej — zaś brutalnością, głośnością poglądów, bał, wulgarnością wręcz i obcesowością wypowiedzi sądów, brutalnością czynów. A wszystko to zdreżone z pokornym, boskim wręcz uwielbieniem podkomendnych, poddanych (patrz: „Strzępy meldunków”, czy pamiętniki, bodaj tylko adiutanta).

Pan Marszałek nie kochał wybranych przedstawicieli. Posłów traktował brutalnie, odsadzał od czci i wiary, nie mówiąc już, że siłą rozpedzał zgromadzenia a posłów... zamykał w pudle. Lecz nie z tego powodu byłem przeciw. Po prostu: jestem przeciw wszelkim namiętnościom. Choć namiętność wykluta na jednym biegunie potrafi być twórczą i krzepiącą. Na drugim zaś — zdolna jest nieść ból i cierpienie. Tyle że cierpiętnicy rodzą się z głupoty zadających ból, a święci rekrutują się z cierpiętników. Mówiłem głośno, pisząc, przywracamy rzeczom i sprawom właściwe miary. Oddajmy więc, jak to się kiedyś powiadało: Bogu co boskie, cesarzowi — co cesarskie, a wtedy może coś tam zacznie wracać do normy. Bez przechyłek w jedną bądź w drugą stronę, jak to obserwujemy od lat...

Na zakończenie mały wtręt o charakterze anegdotycznym. Gdy pisałem ostatnią powieść „Valse à la polacca, czyli kłótnie do nieba” usilnie poszukiwałem tekstów pieśni i piosenek niepodległościowych. Jeden z rozmówców podał mi refren „Pierwszej brygady”, ponoć przed wojną w pewnych kręgach dość rozpowszechniony: „My, pierwsza brygada, Piłsudskiego...”. Och, nie, daj Boże, abym powtórzył go tutaj, nie mówiąc o książce! Zostałbym odsadzony od czci i wiary. I to przez tych samych, którzy dawniej dołożyli mi potężnie za samo posiadanie wielotomowych „Pism wybranych” Józefa Piłsudskiego, czy popiersia Marszałka...

Druga kwestia, niedoceniona przez sprawodawców, pojawiła się na roboczej sesji Rady Narodowej. Wywołał ją podział nadwyżki budżetowej, gdy niewłaściciel radni walczyli o środki dawno... zaangażowane w różne przedsięwzięcia. Do tej chwili i spraw związanych z ulicą Piotrkowską powrócę w następnej relacji „Z ławy radnego”.

MARIAN ZDROJEWSKI

Mój drugi dom

Wiesławowi Kązaneckiemu

Wyniesiony na wzgórze, które jest doliną dla sąsiedniego wzgórza — tak stać mu i

pląnąć pofalowaną ziemią, wśród wawozów, jarów, puszczy litych, sennych jezior, przepastnych moczarów.

W domu tym mieszka lato: cztery roku pory zebrały się w tę jedną, przez wszystkie otwory parują z niego lipce, koluja w nim pszczoły, ćmy, ważki, nieopierze, stukają dzieci. Każdy, kto tu przybywa, zasiada na ławie długiej jak nieskończoność, szerokiej jak grabe, bo każdy jest tu gościem przyjmowanym chętnie w domu, gdzie śpiwni ludzie, dębowe

przyciesie. Do niego zmierzam myślą w miejską jesień

czarną, i w zimę rozdeptaną, i w wiosnę ciętą, czekam, aż z jej wnętrza jak barka

wychynie mocna, bo choć jak minę, przecież on nie

minie. (Wiersz z tomiku pod tym samym tytułem, który ukazuje się nakładem Krajowej Agencji Wydawniczej w Białymstoku).

To jest promocja!

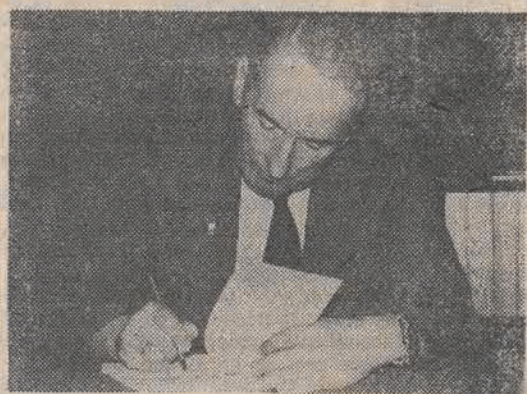


Foto: Grzegorz Galusiński

Konia z rzędem temu, kto zobaczy w łódzkiej witrynie księgarskiej widoczną i wyróżniającą się ekspozycję nowości np. łódzkie pisarzy, książek traktujących o Łodzi, jakimi winno się zainteresować łódzian (zakochanych w tym mieście nie brakuje) bądź nowości łódzkiej oficyny wydawniczej. Ba, nawet wyodrębnione dawniej półki w niektórych księgarniach z nowościami łódzkiej oficyny gdzieś się zapodziały, by tymi miejscami zawiadniał przysłowiowy grzech z kapusta. Bo już do pięknego zwyczaju, jak to niedawno bywało, prezentowania w witrynie nowości łódzkiej twórców z ich zdjęciami nie będzie wracał.

A przecież wszystko to mieści się w tym, co nazywamy promocją. Promocja pisarza, jego dzieła, ginącego w stertach książek wyłożonych bezładnie i składowanych w księgarniach. To właśnie, jak i wiele innych form promocji i prezentacji twórców i ich dzieł, winno być codzienną praktyką księgarstwa. Wszak ta także droga podzielenia winni poznawać twórców żyjących wśród nich, tworzących w tym mieście. Okazjonalne spotkania z czytelnikami organizowane w takich czy owakich dniach — sprawy nie załatwiają.

Na tle takiego traktowania książki — jak towaru nieczytnego przysłowiowej pietruszki — to z czym wyszedł ostatnio oddział Łódzkiej Krajowej Agencji Wydawniczej zaślania prawdziwym blaskiem. Otóż urządził on swojemu pisarzowi — Zenonowi J. Michalskiemu, autorowi prawdziwej relewacji (z uwagi na temat i cenę) wydawniczej pt. „Siwy strzelec strój” — stoisko w Teatrze Wielkim podczas niedawnych uroczystości z okazji II listopada stoisko przy którym autor podpisywał swą książkę, jeszcze „ciepła” od maszyn drukarskich... (Na zdjęciu).

I to jest promocja!

M. B.



Śmierć Profesora

Odszedł Profesor Stanisław Kązanecki. Na zawsze. W tym momencie życia, kiedy gromadzone przez lata wiedza i zdobyte doświadczenie badawcze pozwalają snuć projekty nowych inicjatyw naukowych i plany związane z przyszłością tych, których wybrał jako swoich współpracowników — młodych adeptów nauki.

Pamiętam Go jeszcze z czasów studentkich. Prowadził na polonistyczne łódzkie zajęcia z historii teatru. Przywyczał do pracy z tekstami i „na tekstach” filolodzy — słuchaliśmy Go z uwagą, dźwięk i powieść o sztuce nie pozostawiającej po sobie żadnego zapisu, niemal żadnego materialnego śladu. Mówił o możliwościach jej rekonstrukcji z ułotnych śladów, zagubionych zapisów, szczątków dekoracji, fragmentów ruin...

Mówił ze swadą, którą podkreślał charakterystyczny wtedy dla niego ruch głowy: czasami nie kończył zaczętej myśli jakby bojąc się, że nie znajduje ona potwierdzenia w zgromadzonych przez niego dokumentach wyszeperanych w przepaściach bibliotek, archiwów, zbiorów prywatnych. Potem już pewnie kontynuował swoją wypowiedź sięgając do swoich notatek pisanych drobnym, trudno czytelnym, ale regularnym piśmem.

Potem pamiętam Go już ze wspólnej pracy w ówczesnej Ka-

tedrze Teorii Literatury prowadzonej przez prof. Stefanie Skwarczyński. I nieraz słyszałem, jak Ona, Wielka Dama polskiej teatrolologii, zwracała się do Niego — jednego z pierwszych wypromowanych przez nią doktorów — z prośbą o radę w sprawach dotyczących historii teatru, zawsze zawierając Jego znajomości rzecz lub jak serdecznie się śmiała słuchając przepysnie opowiadanych przez Niego anegdot ze środowiska teatralnego. Zwracała się do Niego: „Staszeczku”, a my — młodzi asystenci — podchwytaliśmy ten zwrot mówiąc o Nim w rozmowach między sobą: „Staszeczku”. On zawsze mówił o Niej: „Mistrzyni”.

Poczułem się szczęśliwy i zaszczycony, gdy Profesor (wtedy jeszcze docent) zaproponował mi

pracę asystenta w nowo utworzonym przez siebie po ukończeniu habilitacji Zakładzie Dramatu i Teatru. Zostałem Jego pierwszym asystentem, a później i Jego pierwszym doktorem. Pamiętam, jak w dniu obrony mojej pracy zaartował: „Musisz wiedzieć, że do obowiązków pierwszego doktora należy napisanie nekrologu swojego promotora”.

Nie mogłem pisać oficjalnego nekrologu. Zbyt świeży żal, zbyt wielkie porażenie tą śmiercią nagłą niespodziewaną, przerażającą. Tylko tych kilka wspomnień...

Spoglądam na półkę biblioteczną gdzie stoją napisane przez Niego książki: „Dzieje sceny kaliskiej”, „Teatr łódzki w latach 1945-1982”, oraz te, którym patronował jako redaktor, konsultant, wydawca, będące historycznymi monografiami dwóch najważniejszych scen łódzkich: teatru przy ul. Cegielnianej (obecnie Teatr im. S. Jaracza) i Teatru Nowego. Na miesiąc przed śmiercią patronował uroczystościom i prowadził sesję naukową z okazji setnej rocznicy powstania stałej sceny teatralnej w Łodzi. Któż mógłby to robić lepiej i w sposób bardziej kompetentny — niż On?

Myślę, ile zawdzięcza Jego żmudnym dociekanom naukowym. Jego mroźnej pracy i Jego intuicji badawczej ta najbardziej ezoteryczna część kultury, jaka jest kultura teatralna. Potrafił w nieporównany sposób wskrzeszać

to, co w kulturze najbardziej przemijające: sztukę teatru. Dziś On przeminał...

Pomiędzy grubymi tomami Jego prac naukowych stoi jedna mała, niepozorna książeczka: tomik poetycki „Poszukiwanie krajobrazu”. A w niej znajdują się innego rodzaju dowody tego, co po mistrzowsku czynił jako badacz teatru: utrwalone w wierszach przemijające chwile, ulotne wrażenia, odchodzące na zawsze w przeszłość przeżycia — jak schodzące ze sceny na zawsze spektakle teatralne, których przywołyaniu naszej pamięci się poświęcił.

Ostatni raz widziałem Profesora niewiele dni przed śmiercią uczestnicząc w obronie prac magisterskich Jego ostatnich uczniów, studentek teatrolologii — Lilki, Beaty, Marioli, Agnieszki, Małgosi. Obsypali Go kwiatami w podziękowanie za opiekę nad ich pracą; widziałem wzruszenie Profesora wobec tych dowodów wdzięczności; widziałem radość absolwentek ze szczęśliwie odbytego egzaminu, ale i jakiś żal w ich oczach, że nie będą widywać swojego Profesora tak często, jak w czasie studiów. Nie wiedzieli, że nie zobaczą Go już nigdy.

Na dzień przed śmiercią udzielił konsultacji i porad swojej doktorantce, której obronę pracy miał poprowadzić w najbliższym czasie...

Na kilka godzin przed śmiercią prowadził jeszcze zajęcia uniwersyteckie. Zmęczonemu jedną z Jego asystentek chciała ofiarować skuteczny lek zagrancyjny. Nie przyjął mówiąc, że się świetnie czuje...

W ostatnim czasie przygotowywał międzynarodową sesję naukową poświęconą pamięci prof. Stefanie Skwarczyńskiej. Nie wiedział, że nie zdąży już oddać Jej tego hołdu. Zdałby jedynie zredagować dokumentację Jej twórczości naukowej i wydać ją w osobnej publikacji. Umarł niewiele ponad pół roku po śmierci swojej Mistrzyni. Podziękuj za nią w krajach wielkiego cienia, skąd Obola, z mroku spowijającego widownię teatralną, spoglądać będą zapewne — jak przyszło teatrologom — na scenę naszego świata.

W naszym kraju ludzie o wielkim sercu za młodo i za często umierają na serce. Zbyt wiele go rodzi innym.

Ale też dlatego oni właśnie zostaną na zawsze w ich pamięci.

SŁAWOMIR
ŚWIONTEK

za bowiem, że ucierpiała na tym głównie publiczność, a dwuletnia nieobecność w TV jest nie do odrobienia.

Wszystkich miłośników teatru, pamiętających zaprezentowane w Teatrze TV „Przedstawienie „Hamleta” we wsi Głucha Dolna” Iwo Breśnana ze znakomitą kreacją Janusza Gajosa w roli sekretarza partii, uciechy zapewne wiadomo, o najbliższych planach repertuarowych Olgi Lipińskiej. W przygotowaniu znajduje się następująca sztuka tego jęgosławskiego dramaturga — „Uroczysty bankiet w przedsiębiorstwie pogrzebowym” oraz „Zabusia” Gabrieli Zapolskiej, której premiera zaplanowana jest w TV na święta Bożego Narodzenia. Jeśli ktoś wybiera się w najbliższym czasie do Warszawy, dyrektorka Teatru „Komedia” gorąco namawia do odwiedzenia swojej placówki. Stałym zainteresowaniem teatromanów cieszą się: „Dożyłowie” A. Fredry, „Kram z piosenkami” L. Schillera, „Zezowate szczęście — ciąg dalszy dzieł Piszczczyka” oraz bajka dla dzieci Friedmana. Szczególnie bliski duchowo jest pani Oldze Aleksander Fredro uważa że wszyscy Polacy mają fredrowskie rodowody.

Na zakończenie prawie dwudziennego spotkania nasz gość serdecznie przeprosił wszystkich, którzy uczestniczyli w niedawnym wystawieniu „Kabaretu” w łódzkiej Hali Sportowej. Olga Lipińska skwitowała ten precedens krótko, lecz dosadnie — skandali! Do prezentacji „Kabaretu” w takich warunkach doszło jednak nie z winy jego autorki i występujących w nim aktorów, lecz nie-solidnego impresaria.

MAK.

Olga Lipińska o sobie i...

Olga Lipińska znana jako reżysera popularnego telewizyjnego „Kabaretu”. Nie wszyscy wiedzą, że jest ona dyrektorem Teatru „Komedia” w Warszawie, a już doprawdy niełohi — że w swej karierze reżyserowała też między innymi: „Don Pasquale” G. Donizettiego oraz „Cosi fan tutte” i „Czarodziejski flet” W. A. Mozarta, zbierając pochlebne recenzje. To tylko niektóre fakty z bogatego i barwnego życiorysu znakomitej reżyserki, która gościła niedawno Klub MPiK przy ulicy Narutowicza.

Wbrew przewidywaniom kolegów z „Dziennika Łódzkiego” sala wcale nie pękła w szwach, a miejsc siedzących starczyło dla wszystkich chętnych. Jednak ci, którzy przyszli do klubu, mogli czuć się usatysfakcjonowani spotkaniem. Autorka słynnego „Kabaretu” w sposób tyż dowcipny, co interesujący, zapoznała publiczność zgromadzoną na sali ze szczegółami swego życia i twórczości, odpowiedziała na wiele pytań, ubarwiając swą gawędę mnóstwem przepysnych dyktówek i anegdot. W towarzyskiej niemal rozmowie nie zabrakło i spraw poważniejszych, jak chociażby bolkot telewizji przez artystów, do którego reżyserka ma stosunek dość ambiwalentny, uwa-

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

W KSIĄZCE I DOKUMENCIE

„70 lat niepodległości Polski w książce i dokumencie” — pod takim hasłem zainaugurowano w Lublinie centralną, XII już dekadę książki „Człowiek — Świat — Polityka”. Celem tej znaczącej, dorocznej imprezy jest popularyzacja książek podejmujących współczesne i historyczne problemy Polski i świata, a także dorobku polskiego i światowego piśmiennictwa z zakresu nauk społecznych i politycznych.

Uroczystości połączone były z otwarciem interesującej wystawy — stanowiącej ilustrację powyższego hasła — i wielkim kiermaszem książkowym. Odbyło się także seminarium wydawców poświęcone problemom związanym z edycją literatury historycznej i społeczno-politycznej.

Podobne kiermasze zorganizowano w innych województwach, na których zaprezentowano liczne nowości, wśród nich — książkę „Inteligencja wobec nowych problemów socjalizmu” stanowiącą zapis ze spotkania Michała Gorbaczowa z przedstawicielami polskiej inteligencji, jakie odbyło się podczas jego wizyty w naszym kraju na Zamku Królewskim w Warszawie.

Łódzkie Dni zainaugurowano

sesją popularnonaukową w Miejskiej Bibliotece Publicznej im. L. Waryńskiego, na której wygłoszone zostały referaty i komunikaty: Z. Michalskiego — „Drogi do niepodległości”, J. Rzymowskiego — „Literatura wobec Polski odrodzonej” i A. Kempy — „Biblioteki w pierwszych latach niepodległości”. Sesji towarzyszyła projekcja filmów krótkometrażowych oraz wystawa pt. „Polska odrodzona”.

V TARGI SZTUKI

W ub. niedzielę zakończyły się w Poznaniu V Targi Sztuki Krajów Socjalistycznych — „Interart '80”, których organizatorami są PP „Sztuka Polska” i dyrekcja Międzynarodowych Targów Poznańskich. Na targach przedstawiono dzieła 40 artystów z Polski, wśród nich tak wybitnych jak: Władysław Hasior, Edward Dwurnik, Marian Czapla, Tadeusz Markiewicz czy Janusz Przybylski. Na targach znalazła się także „oferta małych form”, a więc malarstwa, grafiki, rzeźby, ceramiki, szkła i tkaniny wielkością przystosowanej do naszych mieszkań. Nowością tegorocznych Targów była aukcja dzieł sztuki, która zakończyła imprezę. Z zagranicy wzięły udział w Targach dwie firmy

ze Związku Radzieckiego i Węgier oraz z CSRS, Bułgarii, NRD, Kuby i Wietnamu.

JEDEN Z WIELKIEJ TRÓJKI

Aleksander Galicz do postaci równie legendarna jak Okudźawa i Wysocki. W latach 50-70-tych tworzył wielką trójkę poetów — pieśniarzy, wokół której narosło wiele legend. „Galiczowi” widło się chyba najgorzej — 19 lat przesiedział w łagrach na Dalekiej Północy. Gdy potem wrócił do Moskwy, szybko włączył się w nurt życia: pisał scenariusze filmowe, komedie teatralne, skecze. Był chwalony, był także odozba towarzysztwa. Potem zaczął pisać pieśni — ostre, kpiarskie, smutne — o losach zwykłych ludzi, o nieważkich, bolesnych sprawach, które były na ustach wszystkich. Początkowo — podobnie jak Okudźawa — swoje ballady — pieśni — spiewał wyłącznie w kręgu przyjaciół, szybko jednak stały się one własnością ogółu, pomimo że nie ukazywały się oficjalnie. To były wyjątkowo smutne pieśni — tzw. romanse, miejskie, pieśni kolejo-we, ballady o łagrach — pełne współczucia dla ludzi, którym los poskąpił szczęścia. Uznano go za „odszczepieńca”, te-

piono ostro, osaczano coraz mocniejszym kordonem. Największą obrazą dla władz była jego przyjaźń z profesorem Andriejem Sacharowem. Wszelkimi siłami — jak Solżenitsyn — bronił się przed emigracją. Pozbawiono go praw obywatelskich siłą — taka była praktyka w stosunku do dysydentów — wadziono go do samolotu i wywieziono z kraju. Zmarł tragicznie w Paryżu w 1977 roku. Przeżył 59 lat. Teraz jego twórczość powraca. Mówi się o nim i pisze coraz częściej. Zapowiedziano już wydanie jego ptyty”. („Wprost” nr 47).

SŁYNNA „FALA 49”

„Warto sięgać do archiwów, także radiowych. Można tam znaleźć różne smakowite kąski. Ot, chociażby taki oto list do głosej niegdyś „Fali 49”: „Droga Falo! Ja strasznie nienawidzę tych wszystkich amerykańskich imperialistów, podżegaczy, pasierbów, co się tuczyli naszą robotniczą krwią i teraz chcąliby ją przelewać aby na tym zarobić”. Odpowiedź „Fali”: „Macie rację obywateli Jaworska”. Mimo woli przypomina się w tym momencie epigramat Antoniego Marianowicza „Odkrycie”: Chociaż mikrofon jest rzeczą,

Mit fotografii

Utrwalony na światłoczułym podłożu obraz rządzi się z jednej strony tymi samymi prawami co obraz malarski lub grafika, z drugiej jednak wykracza poza nie. Zdjęcie można analizować mając na uwadze układ kompozycyjny, napięcia kierunkowe itp. ale nie zawsze można na tym oprzeć się, gdyż: właśnie dlatego, że mamy do czynienia z fotografią nie wolno na tym poprzestać. Nawet w przypadku, gdybyśmy się tak odczytywali, w których dostrzegamy odniesienia do poszukiwań kolejnych pokoleń awangardystów ostatnich trzydziestu — czterdziestu lat od geometrii układu po konceptualizm, jak scharakteryzował to Grzegorz Sztalski we wstępie do katalogu wystawy w Sztetnie Maciejewskiego. Toż nie chodzi tu o wysięg do męty z napisem „nowe”, a o ową dwoistość znaczenia rzeczywistości już przeszłej, u nieruchomości w jakiś sposób umiarowej i zarazem ożywionej naszym oglądem. Ożywionej aktem kreacji — świadomym komponowaniem płaszczyzny ujawnieniem treści, których upływ czasu nie zaczyna.

Atoli samo zdjęcie może być nie tylko ostateczną formą zamysłu artysty, może być także elementem bardziej złożonego aktu kreacji. Wówczas poza plastyczne aspekty fotografii, swoisty jej mit góruje nad jej formą plastyczną, a nawet w ogóle ją eliminuje. Tak właśnie dzieje się w pracach pokazanych w Ośrodku Propagandy Sztuki.

Grzegorz Bojanowski, Witold Krymariy, Marian Łukawski, Grzegorz Przyborek, Andrzej Pukaczewski, Józef Robakowski, Zdzisław Walter — autorzy owych prac nie stanowią jakiegś szczególnego zespołu, ale ich program artystyczny, zajmujący się różnymi zagadnieniami, w których postępowanie jest istotne. Wszyscy jednak, przynajmniej w pracach wystawionych, odwołują się do owego mitu fotografii. Nawet w najbardziej zdawałoby się odległym od niego kompozycji Andrzeja Pukaczewskiego, który opatrzył ją takim komentarzem: „Zatarcie granicy pomiędzy fotografią a rysunkiem stwarza sytuację, w której fotografia staje się abstrakcyjnym znakiem graficznym, przekracza próg realizmu, choć rejestruje rzeczywistość”. Cykl zatytułowany „Loty i karów” — fotografie uchwyczone w locie nad porzeczką tyczarką, a oglądane z miejsca na ziemi niemal dokładnie pod porzeczką, jeszcze ów mit potęguje.

Można by uznać, że najbardziej odchodzi od mityczności fotografii Józef Robakowski, posługując się nią dla unaczynienia idei katedry abstrakcyjnego modelu, tworu umysłu, ale wywodzącego się z obserwacji, z oglądu. Robakowski również opatrzył swoje prace komentarzem. Jest on czymś w rodzaju wprowadzenia. Znajdujemy tam zdanie: „Zabieg sprowadzenia idei katedry do FETYSZU pozwolił narzucić geometrię na rzeczywistość...”. I dalej: „a nawet na moją motoryczność biologiczną — czyli w konsekwencji spowodował jakby napięcie energii metafizycznej. To NAPIĘCIE ma być celem tej absurdalnej pracy, czyli sposobem nadania własnej artykulacji niezależnie istniejącej już od mnie materii”. Ten komentarz nie tylko potwierdza postępowanie, ale przez tego artystę mitem fotografii, ukazując także jej swoistą moralność, bez ostrych podziałów na prawdę i nieprawdę, dobro i zło, szczerość i nieszczerość.

Ważki te mniej lub bardziej wyraźnie artykułowane odnajdujemy i w dokonaniach pozostałych uczestników wystawy. Wszyscy też w mniej lub bardziej bezpośrednim komentarzu, który do pracy dołączył, potwierdzają wykorzystywanie mity i moralności fotografii, zarazem jednak poprzez owe komentarze jakby tłumaczą siebie przed sobą, co wydaje się aktem niewiarą w prawdę własnej twórczości i, co osłabia wymowę tych prac, a nie ją wywodzi.

Tytuł zaś wystawy „Obok fotografii” zdaje mi się nie zupełnie odpowiadać jej zawartości. Bardziej byłaby skłonna przyjąć, że chodzi o etyczną stronę tego artystycznego medium.

KRYSTYNA NAMYSŁOWSKA

Wiesław Maciejewski — fotografia, wystawa retrospektywna — Salon Sztuki Współczesnej BWA — Łódź — październik '88
OBOK FOTOGRAFII — wystawa zbiorowa BWA i ZPAF Ośrodek Propagandy Sztuki — listopad '88.

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

Lecz chyba nikt nie zaprzeczy: Kto mówi do mikrofonu Nie zawsze mówi do rzeczy! Maciejewski, obywateli Maria-nowieci! „Antena” nr 47).

„PORTRET” MROŻKA

Teatr MCHAT na pierwszą premierę jubileuszową 90-lecia wybrał sztukę Sławomira Mrożka „Portret”. Reżyserem przedstawienia jest Walenty Kozłowski-Delinde. W przedstawieniu występują: J. Kindinow, B. Szerbakow, J. Proklowa, J. Majorowa i J. Wiernik.

PIERWSZY EUROPEJCZYK?

Znaleziony w Grenadzie fragment ludzkiej czaszki stał się prawdziwą archeologiczną sensacją. Prawdopodobnie są to najstarsze szczątki ludzkie znane z kontynentu europejskiego. Czaszka z Grenady ma 1,3 mln lat. Prowadzone są poszukiwania innych śladów działalności człowieka z Grenady. Uczeń przypuszcza, że przybył on do Europy z Afryki przez lądowy przemyślny w miejscu dzisiejszej Cieśniny Gibraltarskiej.

INNE OBLCZCE

Cesare Zavattini — współtwórca włoskiego neorealizmu w filmie — udowodnił, że jest również

znakomitym malarzem. Z wielokrotnie zainteresowaniem została przyjęta wystawa przeszło 300 jego obrazów zorganizowana w Reggio-Emilia. „Poświęciłem swe życie sztuce — powiedział 86-letni Zavattini. — Mój kwartet artystyczny to literatura, kino, teatr i malarstwo”.

PARYSKIE TARGI

W Poznaniu „Interart'80” a w Paryżu także zakończyły się XV już Międzynarodowe Targi Sztuki Współczesnej (FIAC). Tegoroczne poświęcone były sztuce Hiszpanii, reprezentowanej przez zbiory pochodzące z galerii Madrytu, Barcelony, Kadyksu, Walencji oraz Saragossy. Tradycyjnym zwyczajem, FIAC co roku zapewnia eksponowane miejsce jednemu krajowi. W przyszłym roku będzie nim Republika Federalna Niemiec.

NAGRODY

Chciałoby się powiedzieć: pęk wór z nagrodami. Bardzo znaczącymi. Dla twórców. Po wieloletniej europejskiej nagrodzie dla Krzysztofa Kieślowskiego za „Krótki film o zabijaniu” do-wiedzieliśmy się o nagrodzie Grand Prix, jaką zdobył na Międzynarodowym Festiwalu Filmów w Tours Mariusz

Grzegorzek za film pt. „Robak”. Na XI Międzynarodowym Listopadzie Poetyckim jury pod przewodnictwem prof. Mariana Stępnia przyznało dwie nagrody dla tłumaczy: Janowi Pilarowi (CSRS) za przekład wyboru polskiej poezji współczesnej i Arturowi Sandauerowi — za książkę „Poezi rosyjskiej” i tłumaczenie i części „Fausta” Goethego. Przyznano także dwie równorzędne nagrody w dziedzinie książek e-seistycznych o poezji: Lucji Dąbrowskiej za „Portrety godzin” i Andrzeja Kalliszewskiego za monografię twórczości Jerzego Harasymowicza — „Książę z kraju łagodności”. Nagrodę za najciekawszy zbiór poezji przyznano Nikosowi Chazidimolau za książkę „Feniks”, zaś Nagrodę Poetycką im. K. Hłakowiczówny za najlepszy debiut roku otrzymał Janusz Drzewucki za „Ulicę Reformacką”.

Miesięcznik „Teatr” przyznał doroczne nagrody aktorskie im. A. Zelwerowicza. Jury pod przewodnictwem Macieja Englerta przyznało nagrody za sezon 1987/88: Krystynie Jandzie za tytułową rolę w „Medei” Eurypidesa w Teatrze Powszechnym w Warszawie i Igorowi Przegródzie-kiemu za rolę Iwana Wasilewicza w „Opowieści teatralnej” według M. Bułhakowa w Teatrze TV.

Gratulujemy.

Dotychczas niczego bliższego o „Romanie” Jacka Chmielnika nie wiedzieliśmy. Najwidoczniej zadziała niepisana zmowa recenzentów, żeby nie osłabiać zainteresowania publiczności tą sztuką przez ujawnienie zastosowanego w niej „chwytu”. I ja się z tego nie wy-tamie, powiem więc tylko, że mi-mo uznania dla kunsztowności na-pisanego, subtelnie stylizowanego tekstu, mimo też początkowego zaskakującego rozwoju intrzygi nie odbiegającej zresztą od sche-matów szacownej klasyki, nie mo-głem się opędnąć od natarczywego

PREMIERA W „NOWYM”

Prawda i zmyślenie

pytania, do czego właściwie zmie-rza autor w tym swoim „naśladowaniu” czy „imitacji”, a może raczej pastiszu, jaki wreszcie u-żytek zechce uczynić z zastosowa-nej konwencji. Po cóż u autora, świadomego praw teatru, ten nie-współczesny język i kostium, prze-cież chyba nie po to, żeby tą me-todą wygrać konkurencję z samym Szekspirem?...

Przyznam się, że w pewnym momencie ze zrozumieniem, choć bez aprobaty, odniosłem się do głośnej, nieprzychylniej reakcji mężczyzny siedzącego za moimi plecami. I może nie tak wiele brakowało, żebym go zaczął uci-szać, podobnie jak inni widzowie. Zresztą ci bardziej obcy teatral-nie zaczęli stopniowo chwytać „w co jest grane”, ale tego tutaj jak się zobowiązałem, nie zdradzę dla dobra frekwencji na dalszych przedstawieniach.

Przyjęcie jednak takiego dzeń-telmeńskiego stanowiska (co oby

docenił autor) utrudnia recenzen-towi przeprowadzenie dowodu prawdy przez odwołanie się do przebiegu akcji, uniemożliwia ocenę skuteczności zastosowanych w sztuce pomysłów. Powiedzmy więc raczej o tym, jaka jest problematyka i jakie przesłanie utworu, napisanego przez znanego łódzianom sprzed kilku lat mło-dego aktora.

Otóż przeplatają się tu ściśle, w sposób pomysłowy, i poniekąd wy-rafinowany artystycznie, różnora-kie sprawy, następujące konfronta-cja prawdy życia z prawdą sztuki.

Dość chyba jednoznaczny prze-słaniem utworu jest afirmacja ży-cia nie wymagająca żadnego do-datkowego uzasadnienia poza sa-mym faktem radości istnienia i doznawania, nie pytającej o cel i sens. Radość to wzbogaca refleks-ja nad przemijaniem, co u Goet-hego wyraża się zawołaniem

„Chwilo, trwaj!”. Inna postawa ży-ciowa, zdaje się mówić autor, jest nieautentyczna, nawet miłość, która tak naprawdę (choć w wy-sublimowanej postaci) istnieje tyl-ko w sztuce. Czy ma to znaczyć, że tylko jako niespełnienie?

Jest to więc sztuka zarazem o romantycznym rodowodzie, a jed-nocześnie z pobrzmiewającym ra-cjonalistycznym sztyrsem, i „je-śli się jedno z drugim godzi, to dzięki znajomości przez autora „Je-zyka” teatru.

Troję wykonawcom przypadły zadania nietawne, podejrzanym, że dla bardzo doświadczonych akto-rów. Różne twarze Lorenza, posta-ci nieco dwuznacznej moralnie i skłóconej z sobą, z dużą siłą eks-presji zaprezentował ANDRZEJ MUSIAŁ; dystans do kreowanej postaci BAKARZYNIA PAWLAK, choć może zbyt raptownie prze-chodził z jednej konwencji w drugą; najplastyczniej, może dzie-ki najbardziej monolitycznie zary-sowanej osobowości Trzeciego, z ironizującą samowiedzą poszuka-jącego szczęścia, wypadła kreacja ANDRZEJA JURCZAKA.

To wielce pokrzepiające, że w osobie Jacka Chmielnika przybył polskiej dramaturgii oryginalny ta-lent. To wielce obiecujące, jeśli po niedawnym „Marcelu D.” Teatr Nowy zamierzałby promować (nie-koniecznie przecież na zasadzie prapremier) śmiało poszukiwania artystyczne polskiego dramatu współczesnego. Przyczyniłoby się to do urozmaicenia artystycznego profilu sceny łódzkiej...

JERZY KWIECIŃSKI

Jack Chmielnik: „Romanca”. Reżyseria — Jack Chmielnik, scenografia — Leszek Rybarczyk, układ pojedynku — Waldemar Wilhelm. Premiera 19 listopada 1988 r.

opracowana przez Zdzisława Szostaka. Mistrzow-sko wykorzystano w niej barwy orkiestry symfonicznej, szczególnie brzmienie instrumentów de-tych oraz tuł pełnej orkiestry.

Utworem odmiennym pod względem muzycznego nastroju była wykonana przez solistę Fantazja Mikolaja Rimskiego-Korsakowa na tematy ostat-niej opery kompozytora — „Złoty Kogucik”. Po-nieważ przeobraża epizody liryczne, interpretujący utwór skrzypek musi wykreślić światła inwen-cja melodyczna oraz muzycznym liryzmem. W tym wykonaniu Adam Han-Górski dowodzi że jest muzykiem niezwykle czułym na piękno dźwięku swojego instrumentu, wrażliwym na wszystkie e-stetyczne niuanse prezentowanego dzieła. Można śmiało stwierdzić, że obie interpretowane przez a-merykańskiego artystę fantazje skrzypcowe zach-wyciły publiczność.

W wieku XIX włoska muzyka symfoniczna pod-upadła. Odnowienie myślenia symfonicznego w początku naszego stulecia był Ottorino Respighi. W jego twórczości skupiły się wpływy estetyki i środków kompozytorskich: Rimskiego-Korsakowa, Debussy'ego i Ryszarda Straussa. I chociaż jego mu-zyka jest miejscami mało oryginalna i eklektycz-na, to największą jej zaletą jest mistrzowska tech-nika instrumentacyjna. Światowa sława przy-niosła mu tryptyk symfoniczny, będący wyrazem wielbienia Rzymu. Składała się nań trzy poematy symfoniczne: „Fontanny rzymskie”, „Ponie-rzynskie” i „Uroczystości rzymskie”.

Podczas omawianego koncertu usłyszeliśmy śro-dkowe ogniwo tryptyku. Kompozycja ta składa się z czterech kontrastujących obrazów muzycznych. W pierwszej części — „Ponie w Villa Borhese” zwracała uwagę wyrazista rytmika, słyszalna gło-wnie w instrumentach perkusyjnych i de-tych blaszanych. W drugiej obrazie — „Ponie w pobliżu Katakumb” — najbardziej sugestywny wyraz mu-zyczny miało najbardziej brzmienie altówek i wiolonceli, a pod względem dynamiki — znako-mite arcydzieło pełnej orkiestry. W czwartym, fi-nałowym obrazie — „Ponie na Via Appia” szcze-gólnie sugestywny był punktowany rytm kotłów i majestatyczne akordy „blachy”.

Z pełną satysfakcją można powiedzieć, że arty-styczna wizja dzieła Respighiego zaprezentowana przez p. Zdzisława Szostaka znakomicie uwypu-kliła wszystkie nastrojowe, brzmieniowe i instru-mentacyjne kontrasty i odcienie utworu. Poorze-interesujący i przemyślny dobór programu obaj artyści dowiedli że muzyczne wirtuozostwo nie musi kojarzyć się wyłącznie z czystym efekciar-stwem.

PIOTR KUKIELKA

Myśli

MONTESQUIEU

● Smutek kochanków jest pełen rozkoszy.

● Zraniona miłość może wywołać takie sa-me skutki co nienawiść.

● ... nie jest bliższe niskich uczuć jak pycha i nie ma nic bliższego wzniosłości jak skromność.

● Pycha jest zwierciadłem, które zawsze schlebia; pomniejsza nasze wady, powiększa nasze cnoty.

● ... rzeczy, które sprawiają nam przyjem-ność, są przeważnie nierozsądne.

● Wszyscy ludzie nieśmiało chętnie posługu-ją się groźbami. A to dlatego, że czują, iż groźby wywarłyby na nich samych wielkie wrażenie.

Na zdjęciu: Andrzej Musiał i Andrzej Jurek. Foto: O. Iwaszkiewicz

Kronika

ORGANIZATORZY GŁOSNEJ WYSTAWY

„ARSENAL '88” powołał fundację pod tą nazwą, której celem jest promocja twórczości artystycznej młodych twórców w kraju i za granicą.

OBOWIĄZKI DYREKTORA INSTYTUTU BADAŃ

LITERACKICH PAN — po ustąpieniu prof. dr Witolda Nawrockiego — powierzono prof. Alinie Witkowskiej.

W TEATRZE STUDYJNYM W ŁODZI, 24 listopada

br. odbyła się premiera „Parad” Jana Poroickiego. Spektakl ten przygotował i reżyserował Paweł Nowicki.

DUŻYM SUKCESEM ARTYSTYCZNYM zakończyły

się występy PTL „Pinochio” na dalskiej Syberii. Łódzcy inniżarze przebywali w ZSRR na zaproszenie Trumieńskiego Teatru Łauk, z którym zespół „Pinochio” łączy wieloletnia przyjaźń i współpraca.

Łódzianie pokazali w Tiumeniu i Tobolsku dwa spektakle: „Historia drewnianego pałacu”, w adaptacji i reżyserii Wojciecha Kobrzyńskiego, oraz „Drobnie zdarzenia w zmierzchu przeszłości” (wg. A. S. Puszkina i A. Zostęnskiego, w adaptacji Bogumiły Rzymskiej i reżyserii Wojciecha Kobrzyńskiego).

Oba spektakle zostały bardzo wysoko ocenione w recenzjach prasowych. W „Tiumieńskiej Prawdzie” ukazał się obszerny repozycja z wizyty PTL „Pinochio” oraz wywiad z dyrektorem i kierownikiem artystycznym teatru — Wojciechem Kobrzyńskim.

18 LISTOPADA BR. W TEATRZE „ARLEKIN”

odbyła się premiera widowiska pt. „Przedziwna lokomotywa” wg. scenariusza Zofii Niklińskiej, opartego na tekstach Jana Brzechwy i Juliana Tuwima.

Ten barwny i rozpięany spektakl reżyserował Waldemar Wołański. Będzie on grany do 4 grudnia. Duża gratka dla naszych dzieci!

PANSTWOWE WYDAWNICTWO „WIEDZA

POWSZECHNA” w Warszawie, „Dom Książki” w Łodzi zorganizowały w dniach 22-27 listopada br. w Księgarni Uniwersalnej, cieszącej się dużym zainteresowaniem, wystawę książek „Wiedza Powszechna”. Towarzystwo tej kłopotliwej wydawnictwa tej oficyny, z dużym dorobkiem wydawniczym, specjalizujące się w słownikach językowych, encyklopediach, podręcznikach do nauki języków oraz książkach popularnonaukowych.

W AULI PANSTWOWEJ WYŻSZEJ SZKOŁY

SZTUK PLASTYCZNYCH IM. WLADYSŁAWA STRZEMIŃSKIEGO w Łodzi w dniach 18-20 listopada br. odbyło się I Ogólnopolskie Sympozjum poświęcone problemom kształcenia projektantów form przemysłowych, zorganizowane przez Instytut Form Przemysłowych PWSSP.

LISTOPAD UPŁYNĄ W FILHARMONII

ŁÓDZKIEJ pod znakiem obchodów 70-lecia odzyskania niepodległości. Muzyka polska XX wieku — utwory I. J. Paderewskiego, M. Karłowicza, F. Perkowski i W. Lutosławskiego wypełniły program koncertów w dniach 18-19 listopada br.

Zespołem Orkiestry Symfonicznej Filharmonii dyrygował Tomasz Bugaj, zaś jako solista wystąpił wybitny pianista polski, laureat międzynarodowych konkursów w Warszawie i Neapolu — Janusz Olejniczak.

Czyżby atrakcyjne zapowiadane się planowane w niedługim czasie koncert kompozytorski Krzysztofa Pendereckiego.

W GALERII PWSFTVIT W ŁODZI (ul.

Piotrkowska 169/171) otwarta zostanie 30 listopada br. wystawa prac Aleksandra Błosińskiego (z lat 1960-1988) — pn. „120 lat fotografii bez mnie”.

CIEKAWA KONFERENCJA zorganizował Zarząd

Łódzkiej Towarzystwa Krzewienia Kultury Świeckiej, z myślą o nauczycielach religioznawstwa. Była ona poświęcona roli prawosławia w naszej kulturze. W konferencji wzięli udział ordynariusz diecezji łódzko-poznańskiej Ksiądz Prawosławny — biskup Szymon Romanczuk.

W SIEDZIBIE ŁÓDZKIEGO STRONNICTWA

DEMOKRATYCZNEGO (przy ul. Piotrkowskiej 69) odbędzie się 2 grudnia br. spotkanie z dziennikarzem i literatem — Cezarym Leżniskim.

Spotkanie to organizowane w ramach obchodów 70-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości, poświęcone będzie marszałkowi Edwardowi Rydzowi-Śmigłemu.

Początek spotkania — o godz. 17.

Z OKAZI 70. ROCZNICY ODZYSKANIA

NIEPODLEGŁOŚCI, 18 listopada 1988 r. w siedzibie ZŁ Towarzystwa Krzewienia Kultury Świeckiej odbyła się sesja popoł. (monaukowa). Sesja ta została zorganizowana przez ZŁ TKKS oraz Łódzkie Towarzystwo Naukowe. Prowadził ją znany i ceniony historyk — prof. dr Zbigniew Kuchowicz. Referaty wygłosili: doc. dr hab. Wiesław Pús („Sytuacja gospodarcza ziem polskich a prognoza niepodległości”), doc. dr hab. Andrzej Brzezina („Międzynarodowe aspekty odzyskania przez Polskę niepodległości”), dr Jerzy Byzowski („Literatura wobec Polski Odrodzonej”), oraz — jako głos w dyskusji — referat dotyczący 11 listopada 1918 r. w Łodzi wygłosił dr Tadeusz Borajewski.

W DNIU 28 LISTOPADA BR., przy ul.

Piotrkowskiej 28, odbyło się uroczyste otwarcie Czytelnicy brytyjskiej, zorganizowanej przez Uniwersytet Łódzki.

KLUB MIĘDZYNARODOWEJ PRASY I KSIĄŻKI

W ŁODZI zaprasza na wystawę rysunków „Akt I”, znanego łódzkiego grafika — Henryka Pióciennika.

W RAMACH WSPÓŁPRACY MIAST I WYMIANY

KULTURALNEJ, w dniach 7-11 listopada br. przebywała w Łodzi delegacja łódzkich pisarzy w składzie: Tadeusz Głogier i Wiesław Jazdyński. Głównym punktem programu były spotkania z członkami miejscowego Oddziału Związku Pisarzy NRD.

W MUZEUM HISTORII MIASTA ŁODZI, 24 listopada

br. odbyła się uroczystość jubileuszowa z okazji 75-lecia Dzienniczych Bibliotek Publicznych na Bałutach, Górnej Polonii, Śródmieściu i Widzewie. Historie narodzin łódzkich bibliotek dzielnicowych przypomniła w swoim wystąpieniu mgr. Izabela Nagórka, zaś o ich dłu doświadczeń mówiła mgr. Elżbieta Pawlicka — dyrektor MBP im. L. Waryńskiego. Współczesny stan czytelnictwa scharakteryzował doc. dr hab. Jerzy Ankudowicz (GPN). Refleksjami nad zawodem bibliotekarza podzielił się doc. dr hab. Jerzy Włodarczyk (UL).

W trakcie spotkania wyróżniający się bibliotekarze uhonorowani zostali nagrodami.

Przygotowano też okolicznościową wystawę.

Opracował: JAK

Jesli ma pan ochotę, się wykąpać, to proszę...
Frazę tę wypowiedział jakiś weteran komunizmu, który przy był tu pół godziny przedemną i zdążył już rozzejrzeć się i nabrać swobody.

Niech się diabli! Propozycje rodzą się wcześniej niż życie. Niech się diabli! Propozycje rodzą się wcześniej niż życie. Niech się diabli! Propozycje rodzą się wcześniej niż życie.

— E-e-e, niech się pan nie martwi, tam kąpielówki dają... z pokłonem. Tą drożką dojdzie pan nad brzeg jeziora, tam pan zobaczy dwie rozbieralnie — mekska i damską... A i łódzkiej też — proszę bardzo, jeśli ma pan życzenie poobływać.

I waga, jaka okazano jednostce była na tyle wielka, że pozostało jedynie jej ulec — nie inaczej, jak dla własnego szczęścia i zadowolenia.

Atletycznie zbudowani młodzieńcy, tacy swojscy, na ruską modłę, Apolliniowie i Merkuriusze, wyżymali i rozdawali mokre kąpielówki. Nawiasem mówiąc, zdarzyło się przykre niedopatrzenie — kąpielówek było mniej niż chętnych do korzystania z nich. Dostali mi się ślipy, użyte już przed chwilą przez kogoś innego, ale w zamian za to sumienie wyżęte.

Obszerny staw rozsłany na boki sosnowy las, wokół naturalne brzozy z trawką i turzycą nie ujęte w szablony beton. Co prawda wzdłuż szerokiego stawu biegła asfaltowa alejka, stały ławeczki i drewniane stojaki, usłuszone zachęcające do korzystania z bambusowych wędek. Ale wędkarzy tym razem jakos nie widać...

Przy poprzednim spotkaniu działaczy kultury i rządu można było zobaczyć wzdłuż brzożów w odległości 10—15 kroków od siebie nieruchomo zastylonych wędkarzy. Konstanty Gieorgijewicz Paustowski, sam także natchniony wędkarz, opowiadał mi o tym, jak w prostocie ducha przysiadł się do jednego z nich i bez ukrytej intencji wyraził ciekawość:

— Bierzcie? Wędkarz milczał i spoglądał z kamienną twarzą na nieruchomego sławik.

— A na co pan towi? Na motylka, czy na robaka?

W odpowiedzi ani słowa... I wtedy Paustowski doznał olśnienia: wędkarza nie interesuje ta rybka, co pływa w wodzie, otrzymał bowiem surową instrukcję — nie wdawać się w rozmowy.

Tym razem brzozy są puste. Instruowanych wędkarzy ani śladu, a goście obojętnie przechodzą obok wędek.

Przy kąpielisku zapanowało ożywienie. Wokół mnie pojawiły się znajome twarze — zupełnie, jakbym znalazł się w filii moskiewskiego oddziału Związku Pisarzy. Aleksy Surkow wytrząsa ze spodenek mrówkę i, marszcząc się, narzeka:

— Tnie, diabolicznie, bez żadnej litości, zupełnie jak rozbawiony krytyk.

— Niech się pan ubroji w cierpliwość, ona jest rządowa — ośmielam się zauważyć.

Surkow się śmieje. Kiedy nie wykonuje ważnych obowiązków sekretarza, można z nim nawet pożartować, i to dość śmiało.

Nie opodal, sapiąc w skupieniu, nieśpiesznie otrępuje się po kąpielu Leonid Leonow. A w wodzie przy brzegu odbywa się spotkanie — Walentin Katarajew plynie, wzniecając fale, wprost na okrągłą, nieczym skąpaną księżyc, szeroko usmiechniętą fizionomię Dorizo i głośno narzeka:

— Warto było jechać sto kilometrów z nawijką po to, żeby zobaczyć tę opatrzoną na Worowskiego gebe!

Zanurzony Nikołaj Dorizo usmiecha się w odpowiedzi z przyjemnym, rozbrajającym spokojem.

W pewnym oddaleniu siedzi człowiek rumiany, nierzym różny sok. Pod krawatem, w śnieżnobiałej koszuli, odprasowanych spodniach, włosy suche — a więc nie kąpał się i, nie wygląda na to, by zamierzał. Zwyczajnie odpoczywa. Całkiem niedawno był skromnym współpracownikiem „Komsomolskiej Prawdy”... Aleksy Adzubej, zięć Chruszczowa! Kiedyś, niejako mimowolnie, zawarliśmy znajomość, a nawet tracił się kielszkami, żyjąc sobie nawzajem zdrowia. Teraz starannie spoglądamy w różne strony. On, jak mi się wydaje, czeka na chwilę, kiedy do niego pilnie jego spójnienie i złożone pełen usłuszeństwa. Ale to on jest tu gospodarzem i jego obowiązkiem

jest zauważać i witać. Zatem wystrojony w rządowe majtki wlaże do wody w dalszym ciągu nie zauważany przez Adzubeja, udając, że i ja go nie dostrzegam.

Odświeżony, zadowolony ze wszystkiego, spaceruje w cieniu sosen, spotykam znajomych, godnie wymieniając ukłony z jednymi, a z innymi, po prostu, gawędząc.

Wszyscy są dla siebie uprzejmie grzeczni, na twarzach rozlewa się ciche wielkocenne szczęście. Każdy czuje się zniewolony przez łagodność i przepelnioną chęcią puszczania zniechęć w niepamięć, miłością nieprzyjaciół — „Chrystus zmartwychwstał!” — i nie ponad to. Niewiele brakuje — i Erenburg ucałuje Gribaczowa, a ja ze łzami wzruszenia uściskę Koczeta.

Jednakże nie należy zbyt długo przebywać w stanie błogosławionej nieważkości, kiedy od ukojenia oddech wiecznie w krtani, trzeba zaczerpnąć tchu i opaść na grzeszną ziemię. Nagle zdalek sobie sprawę, że przyjdzie mi przez cały dzień spacerować po asfaltowych drożkach, w cieniu sosen, aż do wieczora, do obiecanego obiadu i uroczystych przemówień. I mimo woli zaświtała mi, wzniecająca bunt, myśl: „Prawdę powiedziawszy, trochę w tym komunizmie... nudnawo”.

Co prawda, nie zjawilo się jeszcze kierownictwo rządu. Być może ono wniesie pewne urozmaicenie.

4.

Było to już drugie spotkanie z rządem. Na pierwsze, niestety, nie miałem honoru być zaproszony, a szkoda — wywołało ono u naocznych świadków sporo emocji.

Podczas obiadu Nikita Chruszczow zdecydowanie za kolnierz nie wylewał i... popłynął „po Pierskiej alcy” z całą rosyjską brawurą.

Najpierw po prostu przerywał wygłaszającym przemówienia, nie uwzględniając stanowisk, ani autorytetów i wypowiadał mimochodem soczyste sentencje, w rodzaju: „Ukraina to, moi drodzy, nie w kł dmu-chali”. A dowiecipował tak, że chyba nawet błądy do zieleności i przywyki do wszystkiego Władimir Molotow musiał się czerwienić.

Później Chruszczow obręgal mimochodem Mariette Szaginnian. Nikt już nie pamiętał, za co, właściwie. W odpowiedzi na jakąś jej przypadkową uwagę rzucił w twarz sędziwej pisarce: „Ale chleb i słoninę rosyjska to jecie!” Ta poczuła się dotknięta i krnąbrnie odparła atak: „Nie przywykłam, by mi wyponunano kawalek chleba!”. Po czym demonstracyjnie opuściła gościny stol, wsiadła do busa i zaczęła uragać rządowi w obecności szoferów. Co jednakże nie odbiło się w żaden sposób na przebiegu uroczystości.

Mocno już wstawiony Chruszczow osiadał temat ideowości w literaturze — „lakernicy to nie takie znów z chłopaki... Nie będziemy cackać się z tymi, którzy nam cichaczem paskudzą pod bokiem!” — mówił przy akompaniamencie pełnych zachwyty okrzyków wiernopoddańczych literatów, którzy teraz, na gorąco, zaczęli wskazywać palcami swoich współbraci: kasaj ich, Nikito Siergiejewicz! Swoję organ założyli — „Litieraturnaja Moskwa!”.

Almanach „Litieraturnaja Moskwa” został założony przez inicjatywną grupę pisarzy, formalnie nikomu nie podlegał, ale faktycznie był całkowicie podległy, jak i wszystkie pozostałe wydawnictwa, kaprysom cenzury, tym niemniej straszył swą niezależnością. Kozakiewicz, powszechnie uznany inicjator, tym razem — nie wiedząc czemu — umknął szczególnej uwagi, cały swój monarszy gniew Chruszczow zgromił na Aligera, winną jedynie tego, że wraz z innymi uczestniczyła w wydawaniu almanachu.

— Jesteście ideologicznym dywersantem! Zgaga kapitalistycznego Zachodu!..

— Nikito Siergiejewiczu, co wy mówicie?.. Jestem przecież komunistką, członkiem partii... Wątku, drobnutka i słabowita Aliger, człowiek o umiarkowanych poglądach, autorka prawomysłnych wierszy, w myślach nawet nie dopuszczająca niechęci wobec władzy, stała przed rozjątrzoną czerwonołecym szefem potężnego państwa i nieśmiało, dziewczęcym głosem próbowała protestować. Ale Chruszczow przerywał:

— Klamiecie! Nie wierzę takim komunistom! A bezpartyj-

nemu Sobolewowi — wierzę!.. Postawny Sobolew byłby szlachcic, absolwent petersburskiego Korpusu Kadetów, autor znanej powieści Remont kaptalny” wykrzykiwał usłużnie, podrywając się z miejsca:

— Szusnie, Nikito Siergiejewicz! Szusnie! Nie wolno im wierzyć!

Chruszczow szalał z wściekłości, wszyscy skuli się i zamarli, a na niebie tymczasem zjawily się chmury, zagrzmiał grom, połymany strugi deszczu. Widać sam Pan Bóg postanowił wziąć udział w rozgrywanej się tragedii, uciekając się do mało odkrywczych, wręcz oklepanych dramatycznych chwytów.

Tent, rozpięty nad świątecznymi stolami, ugiął się pod

WŁODZIMIERZ TIENDRIAKOW

(2)

Na szczęśliwej wyspie komunizmu

ciężarem wody i na członków rządu zaczęło się lać. Jakby spod ziemi wynurzyli się dziesiątki młodzieńcy w wyprasowanych garniturach, zbrojni w szczytki i drągi, wskoczyli za plecami rządu na ogradzającą barierę, zaczęli podpieać opuszczony tent, zlewając wodę — na siebie. Strumienie ściekały na ich głowy, na ich wyprasowane ubrania, lecz chłopcy po stoicku trwali — ofiarni atlanci, podtrzymujący rządowe sklepienie. A burza nie przestawała grzmieć, chłustała ulewa i Chruszczow szalał:

— Udaćcie przyjaciół! Paskudźcie za plecami! Marzycie o burżuazyjnej demokracji! Nie wierze wami!

Watia Aliger ze zmartwiałym obliczem stała wyprostowana i nawet już nie próbowała protestować.

Goście pochylali się nad stołem, kuląc się ze strachu przed mocarnym gniewem i strumie-

niami wody, spływającymi z tentu — atlanci ochraniaли tylko członków rządu. Zażenowany Anestes Mikojaan usłużnie częstował siedzących obok gości wybornymi truskawkami z rządowego stołu. A Sobolew nie przestawał dokładać starań:

— Nie wolno wierzyć, Nikito Siergiejewicz! Obawy są uzasadnione, Nikito Siergiejewicz!..

Żona, dama w kapeluszu z szerokim rondem i zaciętym wyrazem twarzy, szarpała męża za rękaw, nie przestając szeptać. Mąż dał posłuch i zakrzęknął się wokół swojej sprawy, przywołując uczucie urazy:

— Przecież ja, Nikito Siergiejewiczu, zasługuję na szacunek, a w żaden... ale to w ża-

den sposób nie mogę się doczekać, by mi przyznano... garaż.

Żona z zadowoleniem pokiwiała kapeluszem.

A błyskawice wciąż rozłupywały niebo, przemoczeni atlanci podpieali tent wzniesionymi drągami. Zagubiony pośród gości Samuel Marszak o bladej, wydłużonej twarzy od czasu do czasu powtarzał stłumionym głosem:

— Co tam Szekspir!.. Szekspirowi się nie śniło...

W finale Sobolew z powodu nadgorliwości i nadmiernego wzburzenia... dostał apopleksji. Uroczyste spotkanie opuścił na noszach, a żona w czarnych rekawiczkach po lokcie biegła obok i wachlowała poszkodowanego męża ogromnym kapeluszem.

Margarita Aliger szła w stronę wyjścia sama, bano się do niej zbliżyć — napiętnowa-

na, trędownata. Tylko Walentin Owieczkin podszedł do niej, wziął pod rękę i demonstracyjnie poprowadził dalej. Za nimi ostentacyjnie ruszyli przemoczeni atlanci... Nie, nie, piecza nad odsuniętą od lask Aliger obudziła ich czujność, lecz grzyb... Owieczkin znalazł przypadkiem pod rządowym drzewem sporego borowika, nie potrafił sobie odmówić, i zerwał go. Jedną ręką podtrzymywał Margaritę Aliger, a w drugiej niósł grzyb... Dlaczego grzyb? Czy to aby nie zakamuflowana bomba?.. Atlanci towarzyszyli im do samego wyjścia.

Deszcz przestał padać, świeciło słońce.

Po kilku dniach w Moskwie mówiono, że zachowanie Nikity Siergiejewicza podczas przyjęcia zasłużyło na krytykę... nawet w najbliższych mu kręgach.

Tak, poprzednie spotkanie wszyscy mają jeszcze świeżo w pamięci. Dzisiaj każdy oczekuje pojawienia się Chruszczowa z pałacym zainteresowaniem: jak też się zachowa? Czy aby zapanuje nad sobą? A może skrusza popchnie go w stronę przeciwną — ku pełni przebaczenia i miłości? Niezbadane są drogi Twoje, Panie! Po Chruszczowie można się spodziewać wszystkiego...

5.

Winston Churchill, dowiedziawszy się na krótko przed śmiercią o upadku Chruszczowa, dał światu bodajże ostatni w swoim życiu dowód cietej byskotliwości: „Ten człowiek zawsze próbował pokonać prze-paść dwoma skokami”.

Skoki rewolucyjne uczynił Marks podstawą swojej teorii, my zastawaliśmy je w praktyce. Chruszczow chciał z całej duszy rąco przeskoczyć przepaść, dzielącą istniejący socjalizm od baśniowego komunizmu. Raz — i doganiamy sy-tą Amerykę w produkcji mięsa i mleka! Dwa! — pozosta-wiamy ją daleko z tyłu niepo-nętnej rzeczywistości, a sami ładujemy w bajce. Wydano zarządzenie: należy zażywać bydło, by było więcej mięsa! Nie wzięto tylko pod uwagę że bydło trzeba najpierw wychodo-wać. Wielki kraj wybił się do skoku, ale nie sięgnął na drugą stronę, spadając w przepaść. Wstyd? Ależ nie, broń Boże! Znow skaczemy w dobrobyt — tym razem podpora będzie kukurydza...

Mówiono mi, że w obwodzie murmańskim — terytorium o powierzchni nieco mniejszej niż Anglia i większej niż Buł-garia — w nlicznych zastoiach, tych od wiatru dolinach, na słonecznych stokach, mniej więcej na pięciu tysiącach hektarów sadzono odporne na zimno gatunki ziemniaków i kapusty. Chruszczow zażądał, by tam właśnie pięćset hektarów ziemi przeznaczyc pod zasiew kukurydzy.

— Ale i tak nie wyrosnie, Nikito Siergiejewiczu — ośmieleono się zaprotestować.

— No, a jeśli jednak wyrosnie. Jaki wtedy będzie wydźwięk polityczny!

— No, a jeśli... Rachuby skoczka, wierzącego święcie, że i pośrodku przepaści istnieje oparcie.

Przywódcy państwowi odznaczają się często tuzinkowym myśleniem. Mądre sentencje, prorocze wizje nigdy nie powstają jednocześnie w milionach głów, natura nie zna masowych olśnień. Wielkie myśli odkrycia są domeną zdolnych sięgać głębiej niż inni, swego rodzaju mistrzów intelektu i przenikliwości. Potrzeba wiele czasu, by przyziemie rozumujące masy pojęły i przyjęły to, co osiągnęli mistrzowie sztuki myślenia. Uplynęły z górą dwa stulecia, nim odkrycie Kopernika zostało powszechnie uznane.

Działacz państwowy ma do czynienia z zagadnieniami bieżącego życia, staje wobec zadań, wymagających, z zasady, natychmiastowego rozstrzygnięcia. Nie jest możliwe, by czekał setki czy choćby dziesiątki lat na ogólne zrozumienie. Dlatego też jest konieczne, by uciekał się do powszechnie uznanych szablony, elementarnych, pojęć, by pod względem duchowym spełniał warunki średniej społecznej. Zaiste przykre, to, ale intelekt i przenikliwość stanowią u meżów stanu prze-wodzących życia społeczeńści, częściej wyjątek niż norma.

Napoleona trudno nazwać głupcem, co dąłoby korzystać ludzkości. A jatowy intelekt,

który nie daje pożytku, w niczym nie stoi wyżej od głupoty. Abraham Lincoln i John Kennedy, nim przejawili wyższość wobec przeciętnego filistra od względem posiadanego zdrowego rozsądku, sprawiali wrażenie, że bliskie jest im kultuśtwo i dogadali jego miłości własnej. Kiedy zaś wzniesli się ponad szablony myślenia — spotkali ich znany los

Tenże sam Churchill, słynny z przebiegłości, bystrości i dowcipu, cieszący się sławą rozważnego polityka, jakże często działał z zastanawiającą tępotą, nie podejrzewając tego. Otwórzmy na chybił trafił jego pamiętniki. Oto, na przykład, opisuje z powagą i poczuciem doniosłości... Maj 1942 r. Niemalże cała Europa poknęknięta przez hitlerowców, wojska niemieckie wdarły się w głąb Rosji. Właśnie w tym czasie Churchill — z jednej strony Molotow, wysłany z rozkazu Stalina — z drugiej, prowadzą rozmowy w Londynie. Czy porozumiewają się, jak pokonać groźnego i niebezpiecznego przeciwnika?.. Ależ nie, targują się, do kogo będą należeć państwa nadbałtyckie i wschodnia Polska. Z gorącą nieufnością wobec siebie dzielą kawalek skóry jeszcze nie zabitego, a w dodatku silnego i niebezpiecznego niedźwiedzia. I czynią to w takim umiesieniu, że problem, jak go zabić nie wydaje im się istotny. „Niezależnie od spraw związanych z układem, — niedbale odnotowuje Churchill — Molotow przyjechał do Londynu, by wybadać nasze stanowisko odnośnie otwarcia drugiego frontu. Z tego powodu odbyłem z nim rano 22 maja oficjalną rozmowę”. I koniec! Rzuczone niedbale, mimochodem — fakt niewart uwagi. Zachowanie w swej głupocie śmiechu warte, gdyby nie tragiczne wydarzenia, będące następstwem. Niemcy, których skóre tak namiętnie dzielono, uderzyli z nową siłą na Rosję, zagarnęli sześćsetysięczne zgromowienie pod Charkowem, dotarli do Kaukazu i Wołgi. I oto po wielu latach, świadomy już wszystkiego Churchill donosił i bez najmniejszej ironii, pisał: „dziękuję, dobił-jając targu, — co oznacza, że nadszedł niezgodnie nie rozumie.

Głupota łatwo przeradza się w amoralność. Churchill, dowiedziawszy się od Stalina że kolektywizacja w ZSRR została wprowadzona za cenę zgładzenia i zesłania dziesięciu milionów — bagatel! — „małych ludzi”, nie jest tym „wstrząśnięty i nie potępia, lecz do-brzytnie usprawiedliwia: „Bez wątplenia, urodził się pokolenie, które nie pozna ich cierpień, ale będzie miało więcej jedzenia i będzie występowało imię Stalina”. Zaprawdę, błogosławieni są ubodzy duchem, bo-wiem nie wiedzą, co czynią. W tym wypadku Chruszczow okazał się daleko bardziej przenikliwy — takie słowa nie przysłyby mu przez usta.

Tak, Chruszczow był zaiste nieobliczalnie, do upojenia wprost głupi, jego głupota miała prawdziwie rosyjski rozmach. Chociaż, w zasadzie, niczym się nie różnił od innych znaczących polityków, cierpiąc na wspólne wszystkim niedomaganie. Oczywiście, że jego mocarstwowo zadufanie kalectwem społeczeństwa pod względem moralnym, wychowując kłamców, pochleb-ców, okrutnych i bezpardonowych lajdaków w rodzaju „riazanieckiego cudotwórcy” Karonowa, robiących karierę na drodze urzędniczego rozbójcu

Ale, co zadziwiające — w historii zdarzają się takie rażące paradoksy! — właśnie ta skłonność do egzaltacji, której ulegał, była pomocna w dokonaniu śmiałego postępowego przewrotu w kraju. Szczerzany polityk sir Winston Churchill nie przyniósł tyle pożytku Anglii, ile Nikita Chruszczow wielonarodowemu państwu radzieckiemu jednym tylko wy-stąpieniem na XX zjeździe parti-i!..

Pora jednak porzucić rozważania, ponieważ zjawili się właśnie gościnni gospodarze...

C.D.N.

Przełożyła:
**MALGORZATA
URBAŃSKA**



Rys. Janusz Szymański-Glanc

Do czego można porównać uczucie, które człowieka ogarnia w momencie otrzymania opłakanego azylu politycznego? I jak to uczucie wyrazić? Zamawiam sobie prawo do jeszcze jednego podejsia, bo tutaj nie podniosę, trzeba inaczej, ale to „inaczej” musi być inne o początkiem, to nieważne, ale musi być tworem najwyższej prozy, najwyższego wysiłku, na jaki piszący stać. Ten wysiłek to skupienie, nadawanie akumulatorów talentu, inteligencji, pamięci — zdolność do zejścia w siebie głęboko, do przeczucia wszystkiego jeszcze raz, choćby było bolesne.

Ta opowieść reporterska nie ma żadnego innego celu, poza daniem czytelnikowi rozrywki. Wszystko to można by opisać na dziesięć rozmaitych sposobów, od tragedii po farse. Co się naprawdę przeżywa, czekając dziewięć miesięcy na azyl, z perspektywą odesłania do kraju? A co się przeżywa, czekając dziewięć miesięcy w brzuchu matki na wyjście w świat?

Co się przeżywa, kiedy człowiek styka się na co dzień z tajemniczym, wymarzonym światem Zachodu — i ten świat, jak święte ciasto, natadowany jest rodzynkami rodem z kraju ojczystego, zgłębionymi rodzynkami donosicielstwa, zawieszki, głupoty, ciemnoty, lizusostwa, strachu tak samo potężnego i powszechnego, jak ten który panował w stalinizmie? Co się przeżywa, kiedy na każdym kroku spotyka się prawomocnych obywateli Zachodu, już z nowym nazwiskiem, nowym obywatelstwem, którzy jeszcze niewiele lat temu rzywali paznokcie klientom w kazamatkach UB? I ci nowi obywatele drukują w miesięcznikach i tygodnikach emigracyjnych elaboraty, protestujące przeciw twojej, Janie Duchu, decyzji pozostania na tym samym Zachodzie?

Co się przeżywa, kiedy zdzieniafikowani stalinowcy w kraju i zliberalizowani stalinowcy na Zachodzie tworzą zgodny, rodzinny chór, wrzeszczący jak ich przodkowie przed Piłatem: ukrzyżować go! Co się przeżywa, kiedy w takim tłumie karłów każdego orientuje się, że jest obcy, zupełnie obcy, po tamtej i po tej stronie? Kiedy mu wzmawiają, że jest za wysoki, za mocno zbudowany, ma zbyt jasne włosy, że powinien skarcić i przeformować duszę? Nie jest to materiał na rozrywkowy, lekki reportaż, jak ten. To jest materiał na mocną powieść, która i tak niczego nie załatwi, ale da trochę frajdy autorowi w czasie pisania.

Jedno jest pewne: wszyscy umrzemy. Nie ma co się nad miarę ekscytować sprawami doczesnymi — co nie znaczy, że wierzcie w życie pozagrobowe. Nie należy do niego obchodzić. Natomiast jako układ chemiczny tymczasowy musimy dbać o wyważenie składników i wzajemną właściwą relację strachu, tęsknoty, marzeń, gniewu, niechęci... nie wspominać o nienawiści, ponieważ te wypłynęły z siebie już dawno. Za to jest chłodny pogląd — i to najbardziej przeraża. A zbyt wiele przerażeń wytrąca system z równowagi.

Zwycięstwo! Jan Duch wbiega na moją mansardę, dyszy ciężko, krzyczy: — Zwycięstwo!

I pada, jak ten spod Maratonu. Ale pada na kąt, no i nie umiera.

— Mamę to, Andrzeju, mamę, kurwa, niech to piorun!

I bluzni, bluzni, bluzni. W jego przekleństwach są rozmaite tony, od niewiary, poprzez podziw, zaskoczenie, do radości, do szczęścia. Ach, jak wspaniale poddają się polskie przekleństwa wszelkim odcieniom uczuć! Ile wyrażają te niezliczone kurwy, wypowiedziane na jednym oddechu z całą gamą znaczeń, jakby łączył się przed człowiekiem otwierając!

Jest lista z Urzędu do Spraw Uchodźców przy Organizacji Narodów Zjednoczonych, z siedzibą w Brukseli. W niewielu słowach zawiadamiają, że zgoda na udzielenie azylu politycznego została wyrażona. Należy zgłosić się do Urzędu z fotografią. W celu wydania paszportu, tak zwanego Travel Document.

Duch, Georgia i ja. Tego samego dnia. Po dwudziestu miesiącach z nami! Czy nie moglibyśmy dać azylu w dwa tygodnie od złożenia wniosku?

— Czym dla ciebie byłby azyl, gdybyś dostał go w dwa tygodnie? — pytam Ducha teraz, w Warszawie siódmego dnia listopada, w 1988 roku.

— Stało się dobrze, że musieliśmy tyle czekać, stało — mówi Duch. — Człowiek piszący zawodowo powinien wiedzieć, że życie bez chwili odpoczynku. Czy wiedziałbyś więcej o życiu, otrzymując paszport od ręki?

— Nie. Na przykład nie wiedziałbym, jak straszny ból zadaje pewnej grubasce w Łodzi, w roku 1967, słowo dając, ani bym nie przypuszczał.

— Co ma piernik?

— Pamiętasz Łódź z tamtych lat?

— Tyle o ile. Brałem udział w konkursie reporterskim na „opisanie Łodzi”, uczestniczyła w nim doborowa stawka polskich dziennikarzy — powiedział Duch — nawet pamiętam niektóre nazwiska: Glicksman, Fleischmann, Lesman, Berkowitz, Lebenbaum, same asy. No, ale było też paru mniej zdolnych.

— A Aline Grabowska pamiętasz?

— A jakże! Sara Rotenfish. Zmieniła nazwisko z powodów estetycznych. Duża, ruda, gruba, z pływusem. Atakowała mnie seksualnie.

— Atakowała każdego, stary — uspokajam go, żeby sobie za dużo nie myślał o swojej meskości — Mnie też Kiedyś była straszną bantą w Klubie Dziennikarzy, i potem poszłam na nate do kogoś. Nie wiem, jak to się stało, bo nate była młodsza, doś, że znalazłem się w jednym łóżku z tą megierą ocknąłem się, kiedy mnie rozbięła i i moze byłym ją spotrzebowali, ale wiesz, kiedy zdejma majty, ozonał mnie zapach piwnicy! Taki smród, jakby tam od kilku lat gniła cała tura kartofli. Nie do wytrzymania. Wyślaczylem z łóżka i myślałem, że puszcze pawia.

— Nie puszciles.

— Nigdy nie puszczam. Ale tym razem byłem blisko. Uciekłem z mieszkan w popłochu, trzęsły, jakby nie wypili. Wiesz, miałem dużo bab, ale żadna mi jeszcze nie znokautowała zmysłu powonienia tak tragicznie. Odtąd, ilekroć spotykałem tę farbowaną Alinkę, zatykałem nos i śpięprzałem, ile sił w nogach. A mimo to ten fatalny zapach prześladował mnie wiele miesięcy.

— Rok później Aline Grabowska, przyjaciółka Lorberowej, szefowej łódzkiej cenzury — powiedział Duch — tej samej, która moją książkę trzymała przez kilka lat w areszcie, by w końcu wypuścić ją krótszą o ponad dwieście stron, otóż rok później wyjechała do Izraela. Tak samo zresztą, jak wyjechał z Polski: Lorbelowa, Klajman, Glicksman, Lesman, Kupfermann, Zaffeld, Lebenbaum, Katz...

— Zgadza się, i słuchaj: znajdziesz w jesiennych numerach „Kultury” paryskiej z 1971 roku listy do redakcji, oskarżające mnie o polityczny bandytyzm, o żydożerstwo, o faszyzm i diabli wiedzą o co jeszcze. Podpisane: Aline Grabowska. Kilka listów, które nie zostały wydrukowane. Jerzy Giedroyc przelał mi w kapiach. Ona zwróciła na mój temat. Pomysł, ludzie nie znający sprawy od kuchni, pomysleliby, że ta Grabowska walczy o coś istotnie ważnego, że ja rzeczywiście jestem wrogiem Żydów. A ja po prostu nie mogłem znieść jej zapachu.

— Powinieneś napisać o tym Giedroycowi.

— Wówczas wydawało mi się, że o takich rzeczach nie powinno się pisać, i że w ogóle jest wiele spraw, o których pisać nie wypada. Teraz jestem innego zdania. Pisać trzeba o wszystkim, i to całą prawdę, z grubej rury, choćby była nie wiem jak nieapetyczna.

Paszport uchodźczy, „travel document”, znalazł się w moich rekach. Przyglądałem się swojemu zdjęciu, pieczętom, nadrukowi, wszystko to papier, niby nie, a ile meki i stęzonej bzdury kosztował. Teraz byłem wolny. Mogłem pojechać do każdego kraju świata.

Witaj, wolności jutrzeńko!



„oprócz tych na Wschodzie”, jak głosił nadruk. Polska również była wyłączone. Zrozumiałem.

Jan Duch i Georgia otrzymali azyl na zasadzie niepisanej umowy: zgodzić się natychmiast po otrzymaniu azylu opuścić Belgię. Kilka tygodni przedtem nawiązali stosunki z ambasadą kanadyjską. Przedstawiciel tego wielkiego kraju ze zdumieniem słuchał opowieści władz azylowych o trudnościach i opóźnieniu sprawy, o problemach ze zweryfikowaniem donosów i anonimów. Bezcennie śmiał się w twarz panu Merlo, który wrzucił do Ducha mi odwieź!

— Ja nie widzę żadnego problemu — powiedział po francusku — Przecież sprawę jest absolutnie prostą: ludzie chcą dostać azyl, trzeba im dać azyl. Chyba, że nie chcecie im dać azylu.

— Chcemy, oczywiście, chcemy, ale... — płał się Merlo.

— Jeżeli chcecie, to dlaczego nie dajecie? — śmiał się Kanadyjczyk. — To was kosztuje dużo pracy, a im odbiera entuzjazm. Jeszcze mogą zrezygnować z azylu, wrócić do swojego kraju i wyśmiejcie was. Dlaczego nie patrzycie na sprawę z ich punktu widzenia?

Jan Duch oniemiał. Po raz pierwszy od dawna, a może po raz pierwszy w życiu widział człowieka, który mówił jak człowiek. Jest, jest inną świat na tym świecie! Sa inni, lepsi, mądrzejsi ludzie w tym oceanie błotnistych kreatur! Jan Duch pokochał tego Kanadyjczyka. Natychmiast i bez zastrzeżeń. Jedyny kraj na ziemi, do którego chciał jechać, to była Kanada. Jeżeli wszyscy ludzie tak tam myślą, tak prosto i logicznie podchodzą do życia, to tam trzeba żyć. Nie ma innego wyjścia, jeżeli człowiek chce czuć się człowiekiem.

Merlo wywołał zastrzeżenia. Dość ogólnie, jednak wystarczająco jasno, żeby Kanadyjczyk zrozumiał cienie, ciągnące się za Duchami. Ale on potrząsnął głową, lekko zwruszył ramionami: to wszystko była bajka o żelaznym wilku. Nie miał pojęcia o jakichś małych, prowincjonalnych problemach jakichś małych kółek

środowiskowych, w małym kraiku, liczącym sobie trzysta tysięcy kilometrów kwadratowych. On miał do zaoferowania Duchom przestrzeń nieco większą: dziesięć milionów kilometrów kwadratowych! I mogli sobie Duchowie wybrać lokum na którymkolwiek kilometrze z tych dziesięciu milionów. Nikt do nich o to nie będzie miał pretensji. Będą żyli na własny rachunek i umrą na własny koszt. Jedyna rzecz, którą Kanada może obiecać, to jest to, że nikt nie będzie wytykał nosa w ich sprawę. I, jak powiadają ludzie mądrzy, nie ma ważniejszej gwarancji wolności.

Kanadyjczyk, przywołał sekretarke, powiedział jej coś po angielsku. Po chwili pismo było gotowe. Pismo, które czarno na białym składało propozycję komisarzowi do spraw uchodźców: Kanada akceptuje państwa Duchów jako imigrantów i prosi o jak najszybsze udzielenie azylu tym osobom.

Bingo! Nie było odwrotu. Nie mógł się wycofać komisarz, nie mógł się wycofać Merlo, utracili moc donosy, opadły jak słaczące balony anonimowe oskarżenia, wszystko to wywalił silny podmuch ostrego, północnego, kanadyjskiego wiatru. Wszystko to, ta wstrętna małość „europczyków”, to piekło zawieszki i strachu, ten kibel podejrzeń i donosicielstwa — wszystko to zniósł z powierzchni ziemi ten czysty, ostry wiatr, ciagnący od północnego bieguna poprzez North-West Territory, przez Albertę, Saskatchewan i Ontario, aż do granicy Stanów Zjednoczonych, do krainy Wielkich Jezior, dziesiątki tysięcy kilometrów oczyszczającej przestrzeni, na której żyją ludzie wszystkich ras i narodów tego świata.

W tym czasie dostałem list od Muskatulowicza, który pojechał do Kanady wcześniej. Był zachwycony sytuacją. Namawiał mnie, żebym też przyjechał. I to, rzecz dziwna, Antek wcale nie kalepał się w Quebecu, we francuskiej części Kanady, tylko w Toronto. Miał w tym interes: rząd kanadyjski dawał półroczny kurs języka angielskiego, osiem go-

— Może pan sobie zaszkodzić — zaniepokoił się Merlo.

Ale nie był to już ten sam niepokój, co dawniej. Teraz już praca Merly była skończona. Interes załatwiony. Azyle przyznane. Jeżeli Merlo starał się pomagać, to tylko z moralnego obowiązku, nie z konieczności. Ani grosza przecież za to już nie dostanie.

— Jeżeli chcą odwołać sprawę — powiedział Duch — to niech mi przysłaż pismo. Pojadę do Afryki Południowej.

— Niech pan tego nie robi! Pan wie, ilu tam ich jest?

— Nie szkodzi, panie Merlo. Za to tam jest nieprawdopodobna segregacja rasowa, i tam, to ja będę w końcu biały.

— A wie pan, może to i dobry pomysł. Pan wyjechał jak prawdziwy Afrikaner. To ja się dowiem.

Po południu zadzwonił do Ducha.

— Miał pan dobrego nosa, że pan nie poszedł? Wie pan, co oni z tymi donosami zrobił?

— Odłożyli ad acta.

— Gorzej! Znaczy, lepiej: wrzucili do kosza.

Tak się zakończyła batalia Jana Ducha o znalezienie miejsca pod słońcem.

Ale była jeszcze Georgia, i to był problem. Georgia nie chciała opuszczać Europy. Czula się tu jak ryba w wodzie. Jej sytuacja na kilka dni przed odlotem z Atlantyki wyglądała następująco: dwóch kochanków, z których jeden bardzo bogaty a drugi niebywale zamożny, masa znakomych strojów, butów i nakryć głowy, perspektywa małżeństwa z jednym lub z drugim kontrahentem, lub w ostateczności z trzecim, który niewątpliwie byłby się nawinał, ponieważ obracała się już w odpowiednich środowiskach. Wyjazd do Kanady komplikował jej sytuację. Nie mogła trzymać ręki na pulsie (czy gdzie tam jeszcze), podczas jej nieobecności wiele zmian mogło się tu przydarzyć, zawsze lepiej postępować w myśl staropolskiej mądrości: jak masz dobrego chłopca, to go nie popuszczaj.

Ale musiała wyjechać. Obaj panowie, dentyści i potomek królów, byli niepokojeni. Obaj reagowali prawidłowo, choć każdy w swoim stylu.

Felix miał żonę, a z żoną, choćby nie wiem jak kłopskie było życie nie jest łatwo się rozstać, szczególnie kiedy jest dziecko. Wobec tego Felix dał Georgii pięć tysięcy dolarów z prośbą, żeby sobie tam w dzikim kanadyjskim kraju kupiła samochód, i zawsze, ilekroć zapalił silnik, żeby pomyślała o nim. Oczywiście mieli zamiar być w kontakcie listowym, i niewykluczone że za jakiś czas Felix odwiedziłby ją w Kanadzie, albo dał jej na bilet do Europy. Georgia pieniądze przyjęła z wdzięcznością, resztę pozostawiając mądrym dylemowi czasu.

Potomek królów luxembursko-belgijskich, który miał na imię Jean-Berthold, również podarował trochę kieszonkowych swoich miłości. Dał jej dziesięć tysięcy dolarów, ale nie na samochód, tylko dla dobrego samopoczucia, i na bilet. Miała no kilku tygodniach przylecieć znów do Belgii, tym razem jako gość, stale rezydujący za oceanem.

Kiedy spędzałem z Georgią noc — jedną z niewielu, które miała wolne! — powiedziała mi to wszystko nokał: forsa, która rano zamierzała wymienić w banku na „travellers cheques”, nawet dała mi na pamiątkę sto dolarów. Ot, banknot, który upadł na podłogę, schylił się, podniósł, a ona:

— Weź sobie, ja mam tego tyle... niech ci przyniesie powodzenie w interesach.

Nie przyniosł.

— Georgia — powiedziałam — jak ty z tego wybrniesz?

— Prosto. Jean jest kawalerem. Tu mam szansę na małżeństwo najpewniejsze. Posiedzę w Kanadzie długo, aż zatekni. Wtedy przyjeżdżie po mnie. Jak przyjedzie, to będę wiedziała, że go mam.

— A jak nie przyjedzie?

Spojrzała i na mnie ze zdumieniem, jakby zobaczyła mysz, mówiącą ludzkim głosem.

— Co znaczy nie przyjedzie?

I miała rację.

— A co z Felixem?

— Niedługo umrze — powiedziała smutno. — Jest ciężko chory na raka. Jeżeli cierpieć teraz, wiedzając, że właśnie z tego powodu. Chciałbym mu oświadczyć ostatnie chwile.

— Georgia, ty jednak masz w sobie ludzkie uczucia — powiedziałem wzruszony.

— Wszystkie uczucia są ludzkie. — odparła. — Zwierzęta nie mają uczuć.

Potem była jazda pociągami do Kolonii, potem samolot do Montrealu. W górę, nad Atlantyką. Jan Duch poczuł się wolny. Gdyby jeszcze mógł uwolnić się od siebie Ale i to było do osiągnięcia.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ

PWSFTVIT IM. L. SCHILLERA

To już 40 lat!

Tak, to już 40 lat minęło od powstania Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. Leona Schillera. W ciągu tego czasu mury uczelni opuściło wielu znakomitych reżyserów, operatorów, producentów, aktorów, spośród których liczne grono zaliczane jest do czołówek światowego kina. Gdyby zgrupować dziś w jednym miejscu owe dziesiątki najcenniejszych w świecie i najbardziej prestiżowych nagród, jakim poszczycić się mogą absolwenci uczelni, byłaby to godna najwyższego podziwu kolekcja. Nie więc dziwnego, że wielu z profesorów, absolwentów nie tylko zapisało piękną kartę w historii polskiego kina, lecz i współtworzyło uczelnię o podobnym charakterze w niejednym zakątku świata, a i sama uczelnia gościła w swych murach najwybitniejszych twórców światowego kina, którzy z podziwem poznawali dorobek PWSFTVIT. Bo też ma się czym szczerzyć łódzka „szkoła mistrzów”, jak ją nazywają. I w dobrej kondycji — jak powiedział rektor uczelni, prof. Henryk Kluba — przypada szkole obchodzić swoje święto.

Mimo kłopotów i trudności, jakie przeżywa cały kraj, udało się zmodernizować teatr szkolny, pozyskać środki na remont innych pomieszczeń (z zachowaniem ich zabytkowego charakteru). Więcej, w niedługim czasie ruszy budowa pawilonu dźwięku i montażu. Kierownictwo szkoły spodziewa się niedługo sporej pomocy w postaci sprzętu telewizyjnego, komputera graficznego, stołu do zdjęć specjalnych, który umożliwi uruchomienie nowego Wydziału Techniki Specjalnych, słowem — jak stwierdził rektor — „to pozwala patrzeć w przyszłość z pewną dozą optymizmu”.

Uroczystości jubileuszowe trwają już od jakiegoś

czasu. Organizowane są wystawy ku czci wybitnych i najlepszych wychowanków szkoły. Okazją do pokazania jej dorobku był retrospektywny przegląd prac studentów zaprezentowany na festiwalu filmów krótkometrażowych w Oberhausen, na Cinema Giovani w Turynie. Zastępcy szkoły zostali ostatnio uhonorowani przyznaniem liczącej się nagrody Federacji DKF czyli „Don Kichota”. Punktem niejako kulminacyjnym będą dwa wydarzenia. Pierwsze odbyło się w dniach 28-30 bm. w postaci sympozjum nt. „Scenariusz — zjawisko sztuki i rzemiosła” z referatami prof. Henryka Kluby, prof. Bolesława Michałka i Krzysztofa T. Teoplitza oraz pokazami prac i dyskusją. Natomiast 1 grudnia w sali Rady Narodowej Miasta Łodzi odbędzie się uroczyste posiedzenie Senatu z wystąpieniem JM Rektora prof. Henryka Kluby, a także wręczeniem odznaczeń i nagród zasłużonym pracownikom szkoły, wystąpieniem władz i koncertem muzyki jazzowej. Od godz. 16 tego dnia przewidziany jest w siedzibie szkoły wieczór wspomnień absolwentów, studentów, pedagogów i pracowników uczelni.

M. Z.



— Rozpoczął pan pracę w WFO w 1969 r. — zaraz po ukończeniu studiów zoologicznych na Uniwersytecie Łódzkim, ale prawdziwa przygoda z filmem rozpoczęła się niemal w dziesięć lat później.

— Prawdę powiedziawszy nie decydowałem o swojej samodzielności realizatorskiej, zrobiło to za mnie przypadek. Asystowałem Włodzimierzowi Puchalskiemu w naukowej wyprawie Polskiej A-

Króla Jerzego”, „Przyroda antarktycznej wyspy”, „16 tysięcy kilometrów od Warszawy”, „W Antarktyce”, „Dlaczego Antarktyka”, „Wiele rzeczy mnie interesuje, ale uważam, że polska przyroda jest równie ważna do pokazania widzom, jak przyroda Antarktyki. Szczególnie interesują mnie zachodzące zmiany w polskiej przyrodzie, ekologiczna ochrona naturalnych środowiska człowieka. Nie można traktować zjawisk przyrodniczych w sposób albumowy. W dniu

— Plener Antarktydy jest faktycznie kłopotliwy. Zasygnalizuję jedynie najczęstsze występujące przeszkody w pobliżu koła pod-

warzyjskie z kolegami z innych uczelni. Bywa że w prywatnej rozmowie dowiaduję się o jakiejś wyprawie naukowej. Jeżeli mnie zacieka, próbuję swoim zainteresowaniem nadać bieg „administracyjnych poczynaniach”. Tak powstał film „Po duże ryby”. Rejs trwał 50 dni, podczas których łowiono rekiny, tuńczyki, marliny. Przeżyłem romantyczną przygodę. Mocowałem się, z pozytywnym skutkiem z dwustukilogramowym marlinem, zupełnie jak w książce E. Hemingwaya pt. „Stary człowiek i morze”. To była moja duuu-ża ryba. Ale tak naprawdę pojechałem zrobić film o ciężkiej pracy morskich rybaków, o tożsamości ryb, ich ujarzmianiu i o-
prawianiu.

— Które z przyrodniczych zagadnień są najbliższe pańskim zainteresowaniom?

— Wiele rzeczy mnie interesuje, ale uważam, że polska przyroda jest równie ważna do pokazania widzom, jak przyroda Antarktyki. Szczególnie interesują mnie zachodzące zmiany w polskiej przyrodzie, ekologiczna ochrona naturalnych środowiska człowieka. Nie można traktować zjawisk przyrodniczych w sposób albumowy. W dniu

„Bylem w osobliwym raju”

— rozmowa z RYSZARDEM WYRZYKOWSKIM, reżyserem filmowym.

akademii Nauk na Antarktyde. Nasza dwuosobowa ekipa filmowa WFO miała do zrealizowania cykl filmów o faunie i florie Wyspy Króla Jerzego, niezależnie od programu naukowego wyprawy. Niedługo po przejeździe na wyspę Włodzimierz Puchalski nagle zmarł. Musiałem kontynuować rozpoczętą pracę, ale nie czułem się bezradny. Wiele nauczyłem się od pana Włodzimierza. Puchalski był fachowcem z prawdziwego zdarzenia. Chętnie odsłaniał przede mną tajemnice przyrody, nauczył mnie podglądania jej, budowania ukrytych obserwacji zwierząt i odgadnięcia myśli. Właśnie w tym okresie asystowałem różnym, doświadczonego reżyserom z WFO w końcu zaczął walczyć o samodzielność.

— Egzamin „zdawał” pan w nieodczekiwanych warunkach. Jak było? — Właśnie wtedy, kiedy walczyłem o samodzielność, dostałem zadanie z Antarktydy?

— Już przy wpłynięciu do Zatoki Admiralicji uderzyła ogromna dzikość i smutność pejzażu. Dookoła skały lodowe, trochę wstrętnie zmaszczona woda fiordu. Gdy się zaczyna wędrować po lądzie, krajobraz staje się znacznie ciekawszy, barwniejszy i sympatyczniejszy. Co krok napotyka się kolonie pingwinów, najeżonych rozmiało słońce morskie, foki Weddella no i ptasie gniazda: mew, wydrzyków, kormoranów. Cała fauna żyje we wspaniałej idylli i w ogóle nie zwraca uwagi na obecność człowieka. Jest to osobliwy raj dla filmowca, który bez większego trudu może obserwować obyczaje świata przyrody i rejestrować je. Szczególnie ciekawe jest tam lato (grudzień-luty), kiedy cała przyroda tętni już życiem.

— W oparciu o materiały przywiezione z Antarktydy powstało pięć filmów: „Lato na Wyspie

biegunowej. Zimą szczególnie dochodzą silne mrozy i zawieruchy śnieżne. Mroź, wiatr — to jest prawdziwe zimno. Huragany wiatru, dochodzące do prędkości 160-180 km. na godzinę sprawiają dziwne wrażenie, jakby budynki stacji im. H. Arctowskiego miały ulecieć się do góry. Baza wrecz trzęsie w posadach. Bywa, że wiatry trwają całą dobę. Wyjście w teren jest niemożliwe nawet zabronione. Nasze krajowe ostrzeżenia o silnym wietrze 10-20 m. na sekundę, tam trwają niemal bez przerwy, cały rok. W takich warunkach sprzęt filmowy zawodzi. Akumulatory szybko rozładują się, pomimo wcześniejszych zabezpieczeń stosowanych dla zmagwarantowania im kompletnego ciepła. Wystarczy duży kawałek lodu na wietrze i asekuracyjne działania zdają się na nic. Poza tym nie zawsze można pracować w rekawierce. Prowadzenie ostrzeżeń jest operacją precyzyjną, a głośnie dźwięcznie przykrywa się do kamery. Ale trzeba sobie radzić. Nie zrażałem się tymi trudnościami, należało na drugą roczną wyprawę na Antarktydę i znowu, tak mi się wydawało przywiozłem interesujący materiał filmowy.

— Kolejna męska eskapada był udział w rejsie badawczo-połowym kutrem rybackim po środkowym Atlantyku, w okolicach Senegalu w 1984 r. zorganizowanym przez Morski Instytut Rybacki. W jaki sposób zabezpiecza pan sobie udział w tak ciekawych wyprawach?

— Nasze ekipy filmowe, szczególnie te przyrodnicze — dwu-, trzyosobowe zwykle dołączają do grup naukowych. Mają, jak pami wspominała, swoje plany, ale są niezależne od programów naukowych, organizacyjnych. Staram się utrzymywać ciekawe kontakty to-

Rozmawiała:

IWONA NIEMIETEC-ADAMSKA



Masz temat dla reportera?
Coś cię drażni, niepokoi,
szlag cię trafia — podnieś
słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Na Twój telefon czekają redaktorzy:

1 grudnia — DARIUSZ DOROŻYŃSKI — godzina 10-15.

8 grudnia — RYSZARD BINKOWSKI — godzina 10-15.

SPRAWOZDANIE Z DYŻURU
Z DNIA 24 LISTOPADA 1988 R.

Jest w Zgierzu na ulicy Ciesnowskiej przejazd kolejowy. Niedługo strzeżony, wyposażony w zapory, dziś — zapomniany i bardzo niebezpieczny. Dwa lata temu zginął na nim człowiek. Mogą być następne ofiary, gdyż przejeżdżają tamtejsze samochody i ciągniki, w pobliżu bawią się dzieci. A niebezpieczeństwo zdaje się tym większe, że widoczność na owym przejeździe jest bardzo ograniczona.

Zaniepokojony takim stanem rzeczy, jeden z mieszkańców okolicznych domów rok temu powiadomił o sytuacji kierownictwo odcinka drogowego w Kutnie, pytając jednocześnie, jak długo taki bałagan będzie tolerowany. Odpowiedziano mu, że... takiego przejazdu nie ma. Zalarmował więc władze miasta. I to jednak nie dało. Zadzwo-
nił nawet do prokuratury...

Pan Jerzy M. nie może zrozumieć, dlaczego wszyscy lekce-
ważą tak poważny problem. Czy musi dojść do kolejnego wypadku, aby ktoś odpowiedzialny zdecydował albo o zlikwidowaniu przejazdu, albo o przywróceniu mu stanu sprzed lat? Jerzy M. pyta bezinteresownie i z głębokim przekonaniem, że to nie on powinien tę sprawę załatwić. „Odgłosy” też są tego zdania. Oczekujemy na wyjaśnienie!

Pan Grzegorz R. pyta z kolei, jak to jest z tą zapowiadana równowagą sektorów w gospodarce? Niedawno postanowił on zamówić tzw. wiatrołap, czyli podwójne drzwi do sklepu, który prowadzi jego żona. Złożył już nawet zamówienie w Zakładzie Remontowo-Budowlanym PSS „Społem”, ale szybko je wycofał, kiedy dowiedział się, że rachunek opiewał na ponad pół miliona złotych. Dlaczego tak dużo? Ano dlatego, że wykonanie usługi zajął ma ponad 450 „roboczogodzin”, że są narzuty... Państwowi zleceniodawcy płacą — wyjaśniono mu.

Grzegorz R. zamówił w końcu wiatrołap u prywatnego rzemieślnika, który go robił kilka dni i prawdopodobnie weźmie mniej niż połowę tej sumy. Czy wobec powyższego sektor prywatny i państwowy mogą być dla siebie równoprawnymi partnerami? Odpowiedź nasuwa się sama.

Jan Sz. mieszkający w bloku nr 1 przy ulicy Smoczej na osiedlu Piastów skarży się na fetor w klatce schodowej (ze zsyfu) oraz na awarie grzejników. Interwencje w administracji nie dają skutku. Co dalej? — zastanawia się nasz Czytelnik. — Czy rzeczywiście nie można zrobić? Za co musi płacić tak wysokie komornie?

Z podobnym problemem zatelefonowała pani Iwona K. (Les-
miana 5 m 56). Od wielu lat

zgłaszała już w administracji, PGM i Urzędzie Dzielnicowym potrzebę wymiany stolarki okiennej, drzwi wejściowych, parkietu... Owszem, drzwi naprawiono, ale po naprawie jest... jeszcze gorzej. Kiedy meldowała, że balkon są w takim stanie, iż strach na nie wyjść, zaproponowano jej... zabicie gwoździem drzwi balkonowych.

Blok, w którym mieszka Iwona K., od samego początku, to jest od ponad dwudziestu lat miał poważne usterki. Mimo licznych monitów mieszkańców, nie usunęło wielu z nich do dzisiaj. Teraz kosztami próbuje obciążyć się lokatorów, gdyż zmienili się przepisy. Czy to jest w porządku? I czy nasza Czytelniczka sama walczyć ma też z karaluchami, które bezceremonialnie wchodzi do jej mieszkania?

Nawiasem mówiąc, karaluchy, mrówki, farysowie i inne robactwo, to plaga wielu łódzkich bloków. Pora chyba wreszcie, aby władze miasta przyjrzały się bliżej temu problemowi. A spółdzielnie mieszkaniowe, PGM i inne instytucje wydały insektom zdecydowaną walkę.

Pan Henryk J. z Bełchatowa (ul. 19 stycznia 2) ma kłopotliwego sąsiada, który założył sobie w mieszkaniu instalację prądu trójfazowego, czyli tzw. siłę. Skutek jest taki, że Henryk J. nie może ani oglądać telewizji, ani wyczerem zasiać do lektury, gdyż żarówka w jego mieszkaniu ledwo się żarza. Henryk J. słusznie uważa, że postępowanie sąsiada sprzeczne jest z podstawowymi

normami współżycia społecznego, a korzystanie przez niego z prądu trójfazowego nie powinno nikomu przeszkadzać. Problem w tym jednak, że w Bełchatowie nikt nie chce Henrykowi J. pomóc, chociaż — jak powiedział — „obszedł już całe miasto”. Zdesperowany zadzwonił więc do „Odgłosów”.

Co prawda, my przedstawiliśmy nowy problem, ale byliśmy bardzo ciekawi, co sądzi o nim Urząd Miasta!

Inny bełchatowianin, Tadeusz C. chętnie wybrałby się na obiad do pobliskiej restauracji „Czardasz”, ale... Albo wydałby się tam obiadu abonamentowo i zwykły śmiertelnik z ulicy nie ma czego szukać, albo lokal jest zamknięty, gdyż odbywa się w nim właśnie... turniej brydżowy lub jakaś próba. Podobnie w innych bełchatowskich restauracjach. Tam zaś, gdzie nie ma abonamentów, turniejów i prób, jest tak brudno i nieprzyjemnie, że zjedzony posiłek wcale nie musi pomóc na zdrowie.

Pan Rajmund D. bezskutecznie poszukuje książki o Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie, która się ukazała niedawno nakładem „Ossolineum”. Jak się dowiedział, Łódź otrzymała zaledwie 900 jej egzemplarzy. Część z nich trafiła do bibliotek, część zaś... W każdym razie Rajmundowi D. nie udało się jej kupić, choć bardzo mu na tym zależy.

Może Łódźczy księgarze — zastanawia się jakiś ścigacz — do siebie jeszcze ten bestseller, jeśli jest gdzieś w magazynach, zaś wydawca pomyśli o drugim nakładzie?

I na koniec sprostowanie, o jakie prosił pan Wacław Dobrynin, który onegdaj telefonował podczas dyżuru reportera, przekazując swoje propozycje i uwagi, opublikowane później na naszych łamach. Otóż sfera ochronna wokół zakładów „Polonit” powinna wynosić nie półtora, lecz pół kilometra szerokości. Zasiłków rodzinnych nie powinno się płacić pannom, a nie paniom, po urodzeniu drugiego dziecka. I wreszcie: zdaniem naszego Czytelnika, nie należy płacić zasiłków ludziom, którzy ulegli wypadkowi po pijanemu. To gwoździ ścieślości. Za pomyłkę przepraszamy.

PAWEŁ
TOMASZEWSKI

ZAKŁAD
DOSKONALENIA ZAWODOWEGO
OŚRODEK KSZTAŁCENIA SPAWACZY,
Łódź, ul. Łąkowa nr 4 -
prowadzi
K U R S Y:

- * spawania elektrycznego
- * spawania gazowego
- * spawania w osłonie CO₂
- * spawania w osłonie argonu
- * spawania na uprawnienia Urzędu Dozoru Technicznego Rs. I, I. i Bs. I, I.
- * mistrzowskie spawacz gazowo-elektryczny
- * bhp i ppoż., przy spawaniu
- * obsługa butli tlenowych i acetylenowych dla magazynierów.

Informacja i zapisy Łąkowa nr 4, p. 313, III p., tel. 32-60-48, po godz. 15.30 — 32-89-09.

3288/K

WOJEWÓDZKA KOLUMNA TRANSPORTU SANITARNEGO
w Łodzi

o g ł a s z a

PRZETARG NIEOGRANICZONY

na sprzedaż nw. pojazdów.

Lp.	Marka	Nr rej.	Rok prod.	Nr silnika	Nr podwozia	% zuż.	Cena wywoł.
1.	P. Fiat 125p	LDB 791P	1985	977470	1024502	70	650.000,—
2.	P. Fiat 125p	LDB 298P	1984	974862	1023457	65	758.000,—
3.	P. Fiat 125p	LDB 704P	1985	1062260	1024175	70	650.000,—
4.	P. Fiat 125p	LDB 307E	1984	934683	1017326	65	758.000,—
5.	P. Fiat 125p	LDB 796P	1985	914191	1024582	65	758.000,—
6.	P. Fiat 125p	LDB 776P	1985	1044898	1024374	70	650.000,—
7.	P. Fiat 125p	LDB 793P	1985	1017451	1024497	70	650.000,—
8.	P. Fiat 125p	LDB 780P	1985	977461	1024527	65	758.000,—
9.	P. Fiat 125p	LDB 296P	1984	1052024	1023523	70	650.000,—
10.	P. Fiat 125p	LDB 348P	1985	919101	1023135	70	650.000,—
11.	P. Fiat 125p	LDB 442E	1984	862589	1018091	65	758.000,—
12.	P. Fiat 125p	LDB 356P	1985	1002006	1023131	70	650.000,—
13.	Nysa 522 T	LDB 133E	1984	601135	291539	70	617.000,—
14.	Nysa 522 S	LDB 483E	1984	773465	293710	70	667.000,—
15.	Nysa 522 S	LDA 286V	1983	804293	283917	65	778.000,—
16.	Nysa 522 T	LDB 965E	1984	810268	296007	70	617.000,—
17.	AVIA A 20 F	LDA 378S	1982	1198	7727	75	926.000,—

Wymienione pojazdy można oglądać w dniu 19.XII.1988 r., na terenie WKTS, w Łodzi, ul. Wąrecka 2, w godz. 8-10.

Przetarg odbędzie się w dniu 19.XII.1988 r., na terenie WKTS w Łodzi, ul. Wąrecka 2, o godz. 11.

Zainteresowani winni wpłacić wadium w dniu oględzin do kasy przedsiębiorstwa w wysokości 10 proc. ceny wywoławczej.

W przypadku niedojścia do skutku przetargu pierwszego, drugi przetarg odbędzie się w dniu 4.I.1989 r., o godz. 11 na terenie WKTS, w Łodzi, ul. Wąrecka 2.

Zastrzega się prawo odwołania przetargu lub wycofania niektórych samochodów bez podania przyczyny oraz zmian cen wywoławczych. Za występujące wady ukryte w pojazdach zakład nie ponosi odpowiedzialności oraz nie uzupełnia braków.

3318/K

TEATRY ŁÓDZKIE PROPONUJĄ



Teatr im. Stefana Jaracza w Łodzi



W WIEDZIENSKIM — „CHOINKA U IWANOWÓW”

ALEKSANDER WIEDZIENSKI
„CHOINKA U IWANOWÓW”
POLSKA PRAPREMERA W REŻYSERII
WALDEMARA ZAWODZIŃSKIEGO!

JUŻ 11 GRUDNIA 1988 R. O GODZ. 19.00

„Przychodząc do nas, zapomnijcie wszystko, co przyzwyczailście się oglądać we wszystkich teatrach. Niejedno, być może, wyda się wam niedorzecznym. Chcielibyście odnaleźć tę logiczną prawidłowość, do której jesteście przyzwyczajeni i którą — jak wam się wydaje — dostrzegacie w życiu. Ale nie będzie jej tutaj. Dlaczego? Ponieważ przedmiot i zjawisko, przeniesione z życia na scenę, tracą swoją prawidłowość „życiową”, zyskują zaś inną — teatralną”.

3346/K



teatr 77

18 grudnia 1988
— TEATR 77 —
P R E M I E R A

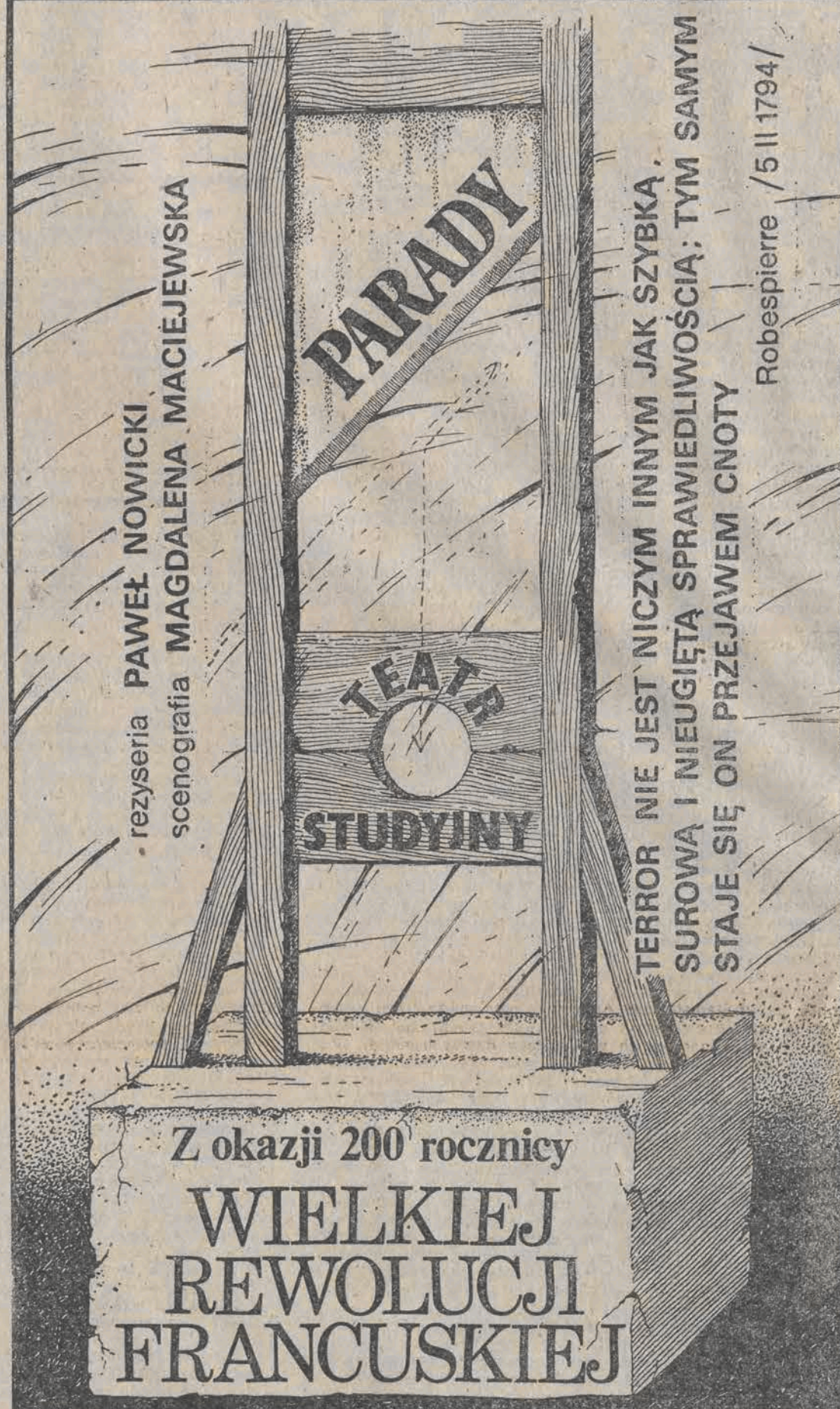
„... DLACZEGO?”
na podstawie głośnej powieści
WIENIEDIKTA JEROFIEJEW

„MOSKWA — PIETUSZKI”!!!

Adaptacja i reżyseria — JACEK ZEMBRZUSKI.
Informacje — Teatr 77, ul. Zachodnia 56, tel. 33-43-68,
33-26-41.

3344/K

TEATR STUDYJNY '83



reżyseria PAWEŁ NOWICKI
scenografia MAGDALENA MACIEJEWSKA

TERROR NIE JEST NICZYM INNYM JAK SZYBKĄ,
SUROWĄ I NIEUGIĘTĄ SPRAWIEDLIWOŚCIĄ; TYM SAMYM
STAJE SIĘ ON PRZEJAWEM CNOTY

Robespierre / 5 II 1794/

Z okazji 200 rocznicy
WIELKIEJ
REWOLUCJI
FRANCUSKIEJ

3347/K

Teatr NOWY w Łodzi

MAŁA SALA

dyktando: Hucisko i Antytekst — JERZY SITARZ

Jerzy Sitarz

Udział wzięli:
Mikroława Marcheluk
Ryszard Mróz (gościnnie)
Jacek Pawlak
Jan W. Poradowski

Reżyseria
LUCYNA MIELCZAREK

Scenografia
JERZY SITARZ

M...
P... — C. OŁONIEWSKI

Bonjour
Marcel D.

W poszukiwaniu dramaturgii młodego pokolenia

Najskrytsze tajemnice kobiety
odkrywane przez dwie męskie zjawy

czyli

BONJOUR MARCEL D.

Jerzego Sitarza

w reżyserii Lucyny Mielczarek, ze scenografią autora i muzyką
Marka Chołoniewskiego.

Prapremiera: 18 czerwca 1988 roku w Małej Sali Teatru Nowego.

Miłość romantyczna demaskuje brutalnie
grę pozorów teatru.
Czy spektakl zostanie dokończony?

Oto

ROMANCA

Jacka Chmielnika

w reżyserii autora, ze scenografią Leszka Rybarczyka.

Premiera: 19 listopada 1988 roku w Małej Sali Teatru Nowego.

3345/K

Teatr NOWY w Łodzi

MAŁA SALA

dyktando: Hucisko i Antytekst — JERZY SITARZ



Romanca

Jacka Chmielnika

Joanna Kulczyńska-Pawła
Andrzej Jurczak
Andrzej Musiał

Reżyseria
JACEK CHMIELNIK

Scenografia
LESZEK RYBARCZYK

Układ poedyktu
WALDEMAR WILHELM

Minał brzemienisty w zdarzenia rok 1792. Ludzie byli zmęczeni i niespokojni. Tak niedawno gdzieś w przygranicznym miasteczku Targowicy zebrała się garska zawiedzionych w swych ambicjach magnatów, którzy wbrew własnemu narodowi i prawowitemu monarsze pchnęli ojczyznę na skraj przepaści. Uzgodymiony wcześniej w Petersburgu akt konfederacji, zwanej oddatą targowicką, miał zabezpieczyć Rzeczpospolitą przed zgubnym, zdaniem targowiczów, wpływem postępowego obozu reform. W obawie przed słuszną w gniewem zdradzonego narodu konfederacji uprosili imperatorową o protekcję rosyjską. Katarzyna II skwapliwie skorzystała z okazji, zgodnej z mocarstwem polityką Rosji. Szczęsny Potocki, targowicz, tak uzasadniał decyzję sygnatury haniebnego aktu: „Zguba lub despotyzm nas czekał. Opatrzność użyła sposobów nadzwyczajnych, gdy już żadnych się być nie zdawało do ocalenia Rzeczypospolitej”.

Wkrótce przekroczyła granice uszczuplonego już w wyniku pierwszego rozbioru kraju blisko stu tysięczna armia rosyjska, przeciwko której stanęło zaledwie 37 000 żołnierzy polskich. Polacy niemal od początku znaleźli się w defensywie, nie pomogli zwycięstwa ks. Józefa pod Zieleńcami i Kościuszką pod Dubienką.

Spelżył na niczym zabieg dyplomatyczny rządu polskiego w sprawie zawieszenia broni, bo Katarzyna nie uznawała stanu wojny między obydwojema krajami, zaś działania zbrojne na ziemiach Rzeczypospolitej określała jako interwencje na prośbę legalnej, w jej przekonaniu, reprezentacji narodu w osobach konfederatów. Zmuszony niekorzystną sytuacją na polach bitew, zagrożeniem ze strony Prus i pogarszającym się stanem gospodarczym kraju Stanisław August przystąpił, acz niechętnie, do konfederacji i wstrzymał działania wojenne.

Jeszcze w lipcu 1792 r. główni autorzy i obrońcy Konstytucji 3 Maja udali się na emigrację w obawie przed represjami targowiczów. Rosjanie zajmowali kraj powierzając dowództwo wojsk polskim targowiczom Ożarówskiemu i Kossakowskiemu. Dla uniemożliwienia powstania zbrojnego w zajętych prowincjach przemieszczano oddziały polskie tak, aby były oddzielone od siebie palcami rosyjskimi. Przejęte działa odesłano do Warszawy, królowi odebrano część gwardii przybocznej. Oficerom polskim udzielano dymisji lub zwalniano ze służby.

Pod koniec 1792 r. pojawiły się pierwsze symptomy bankructwa Piotra Teppera i innych bankierów warszawskich, spowodowane przegrana wojną, niewypłacalnością dłużników (w tym króla) i krachem finansowym w Europie. Odmowa wypłacenia przyrzeczonej przez berlińskiego bankiera nazwiskiem Levy pożyczki w wysokości 100 000 dukatów spowodowała zaprotestowanie wełki Teppera. Wiadomość ta wstrząsnęła polskim systemem bankowym. Kto żył wycofywał swe wkłady bankowe, po kilku miesiącach ogłoszono niewypłacalność banku Teppera, Kabryta i Prota.

Z różnych szuflad

List z Warszawy A. D. 1793

Potockiego. Upadek banków zrujnował tysiące rodzin. „Jednym słowem, ta rewolucja handlowa miała straszliwie skutki niż polityczna, od której Polska cierpi od roku” — pisał Inflantczyk Fryderyk Schultz, który sam też poniósł straty, zawierzywszy swe oszczędności Tepperowi.

Nowy rok 1793 minął względnie spokojnie. Do zamku, siedziby króla, przybywały oficjalne delegacje z życzeniami dla monarchy. W pokojach stał się korpus dyplomatyczny i sztabowcy rosyjscy z gen. Kachowskim na czele.

Tymczasem 16 stycznia 1793 r. rezydent pruski w Warszawie, Buchholz złożył Stanisławowi Augustowi notę swego rządu, oznajmującą o wkroczeniu wojsk pruskich pod wodzą gen. Möllendorfa do północno-zachodnich województw Rzeczypospolitej: poznańskiego, kujawskiego, kaliskiego i części sieradzkiego po rzekę Prosnę. Jako powód agresji podano niepokój w Polsce, wywołane przez jakobińskich emisariuszy z Paryża, a także tworzenie się klubów rewolucyjnych, głoszących demokratyczne hasła. Wojsko skierowane rzekomo tylko po to, by udzielić protekcji lojalnym i „dobrze myślącym” obywatelom tych ziem.

Nieliczne oddziały polskie pod komendą gen. Arnolda Byszewskiego ustępowały z wolna za Pilicę i Bzurę. Podwładny Byszewskiego, późniejszy generał Jan Henryk Dąbrowski, poradził swemu dowódcy, by ten skierował się na Warszawę, zajął arsenał, rozbił stacjonujący w stolicy garnizon rosyjski pod wodzą Igelströma i ruszył po uzyskaniu posiłków, przeciwko Möllendorfovi. Projekt ten, za pośrednictwem gen. Gorzeńskiego, przedstawiono królowi, lecz przeorażony król ujawnił plan Igelströmowi. Załoga rosyjska została wzmożona, na Woli wystawiono silną baterię armat, zaś Byszewskiemu nakazano postój w Końskich.

Pod koniec stycznia dotarła do Warszawy wiadomość o zgilotowaniu Ludwika XVI. Ambasador rosyjski w Polsce stawiający się 14 lutego na audiencji u króla, zastał go pogrążonego, od trzech dni w żałobie po śmierci francuskiego króla. 17 lutego 1793 r. zastrzeżono cenzurę druku i korespondencji z Paryża, wszędzie wietrzono jakobińskie spiski. Z Petersburga nalegało na Sieveersa, by czym prędzej skłonił króla do wyjazdu z Warszawy tam, „gdzie odegrać się miała ostatnia scena dramatu”. Król obietcywał wyjazd, zarzekając się patetycznie, że „woli być wtrąconym do więzienia, niżeli podpisać podział nowy, to jest hańbę własną”.

Pod wpływem tych wydarzeń pisał swój list z Warszawy 26 lutego 1793 r. Franciszek Ksawery Krasiński (1774—1844), były uczestnik walk pod Zieleńcami i Dubienką. Po krótkim pobycie za granicą bawił w Sieradzie na dworze swego stryja biskupa Ignacego Krasińskiego, a także w Warszawie, skąd przesyłał stołecnym nowinki do rodziców Antoniego i Róży z Charczewskich, zamieszkałych w Dubiecku. List ten, zachowany w późniejszym odpisie, znajduje się w zbiorach Miejskiej Biblioteki Publicznej im. L. Waryńskiego w Łodzi.

Donosząc Państwu Dobrociestwu nowiny, nie przysięgam, czy wszystkie prawdziwie będą, czy nie. Pierwsza jest, że pan Sywers proponował królowi jego miłośnikowi Imperatorowej, aby jechał do Grodna, ale się to nie zdało królowi, i ekskuzję różną dawał. między innymi było to, że mu było bardzo przykro iechać do tych, którzy tak przesładowali niedawno, i prosił Sywersa, aby to doniósł Imperatorowej. Nie wiedzieć jeszcze, jakimi skutkami to wyda. Druga z nowin: generał Byszewski ze swoją komendą zbliżył się ku Warszawie bez wiedzy pana Igelströma, w drodze zaś idąc nie chcąc ogłosić ludzi swoich, w kilku miejscach odebrał gwałtem furaz, którego Moskale odstąpić prosiącemu nie chcieli. To zrobiło podejrzenie panu Igelströmowi, że pan Byszewski zbliżył się do Warszawy z myślą atakowania jej dla odebrania armat i amunicji, której Moskale nie chcą nam wydać z Warszawy. Pan Igelström rozniewany, w mniemaniu, że pan Byszewski miał go atakować, ale ta pocziwa dusza pewnie nie miała tej myśli, wykonderował 20 000 ludzi pod komendą Dunina dla dezarmowania (rozbrojenia — AK) pana Byszewskiego i z komendą. Ledwie ten warunek odmienił pan Igelström za wdaniem się p. Sywersa. Nowina fatalna, co podobno wielu Polaków sankiufotami zrobi jest, że Tepper bank zbankował i bardzo wielu bankierów spadnie. Placzu tu pełno i pan Franciszek Krasiński nie bardzo się cieszy. Moskale kazali pieczętować panom spichlerze i gunna, parochowskiej wpięć, co w nich jest. Po tych wszystkich nowinach możecie Państwo miarkować, jak są szkodliwi tutaj obywatele... To są pierwsze nowiny o rozdziale Polski tu wciąż mówią...

Pod prąd

Anatomia plotki

Plotka jest zjawiskiem niebezpiecznym i szkodliwym. Bywa, że potrafi wyrządzić więcej zła niż niejedna powódź, pożar czy gradobicie. Niektórzy porównują ją do choroby, na przykład grypy, którą zarazie się można nie wiadomo gdzie i kiedy i która choć uleczalna, powoduje czasem różne tak zwane powikłania.

Plotka rodzi się zwykle z niedostatków informacji połączonej z ludzką naiwnością, głupotą, zawiścią, a także strachem. Wystarczy, że sąsiedzi są zbyt skryty, a już rodzą się przypuszczenia, podejrzenia, które przekazywane szepcąc z ust do ust powoli nabierają cech coraz większego prawdopodobieństwa, by w końcu w mniemaniu otoczenia stać się niepodważalną prawdą.

Z plotką trzeba walczyć. Nie jest to jednak zadanie wcale łatwe i często jako żywo przypomina walkę z cieniem, który choć dobrze widoczny, nie daje się ani złapać ani tym bardziej — obezwładnić.

Najlepszym lekarstwem przeciwko plotce jest jej zdementowanie. Ale nie wystarczy jedynie jej zaprzeczyć, gdyż to zamiat zniszczenia groźnego wirusa, może go jedynie tylko bardziej uodpornić. Przede wszystkim należy zatem zaprzeczyć wszelkie informacje, która była powodem powstania plotki. Ważne przy tym, aby uczynić to w odpowiednim momencie, ponieważ przegacenie go nieproporcjonalnie wydłuża czas leczenia, którego koszty rosną wtedy w postępie geometrycznym.

Bywają plotki male i duże. Te pierwsze tworzymy wokół siebie sami. Te drugie wynikają z rozgłosu ze źle polityki informacyjnej władz, ale albo chcą przed społeczeństwem coś ukryć, albo też zupełnie nie mają pojęcia co ludzi naprawdę interesuje i o czym chcieliby wiedzieć.

Przykłady plotek w skali mikro na ogół są banalne i trywialne: Janowski pedzi w domu bimber, Pietrak jest homoseksualista. Nowak jest tajnym agentem Służby Bezpieczeństwa i regularnie donosi o wszystkim co dzieje się w naszym biurze. Nie znaczy to wszakże że takie male ploteczki nie mogą przynieść wielkich krzywd, a nawet prowadzić do tragedii. Zdarza się i tak.

Plotki w skali makro stępią społeczną wrażliwość, rodzą uorządzenia i przesady, wręcz mogą stać się przyczyną publicznych wystąpień, których skutki trudne są czasem do przewidzenia. Sytuacje zawsze pogarsza dodatkowo fakt, kiedy taka plotka choć po części okazuje się w końcu prawdą.

Nieudolność naszych władz w walce z plotkami, które obiegają cały kraj, przez długie lata budziła we mnie — a nie byłam tu bynajmniej wyjątkiem — coraz większe zdumienie i przerażenie zarazem. Obawiałem się bowiem, że nadejdzie kiedyś taka chwila, gdy najgorsze, najbardziej wiarygodne dementi nie rozwieje wszystkich wątpliwości, a nauczani przyzwyczajeni doświadczeniem z przeszłości ludzie nie uwierzą, że świnia ma tylko cztery nogi, mimo że pokaże się w telewizji całe stado świń, i to w kolorze. Poniekąd miałem rację, ponieważ wiele oficjalnych i szerych zapewnienie władz budzi dziś u niektórych podejrzenie, że to zwykła błaża, kolejny wybieg, chwyt propagandowy...

W ubiegłym tygodniu środki masowego przekazu, głównie w oparciu o PAP, obdarzyły nas wyjaśnieniem iż nie jest prawdą, jakoby na terenie Polski stwierdzono w ostatnim czasie wzrost poziomu skażeń promieniotwórczych. I nie byłoby w tym może nic godnego uwagi, gdyby nie to, że informacja na ten temat znów została podana wyjątkowo nieudolnie. Suchy komunikat, do którego ograniczyli się na przykład niektóre gazety czy dzienniki radiowe i telewizyjne, budził bowiem co najmniej zdziwienie.

Skutek był prosty do przewidzenia: wiele osób, delikatnie mówiąc, przyjęło go z daleką rezerwą. I prawdę powiedziawszy, nie było to zbyt zaskakujące. Po tym kiedy dziennik telewizyjny przekazał „rewelacyjną” wiadomość o spotkaniu Margaret Thatcher z Lechem Wałęsą, gdy wiedzieli już o nim pół Polski...

JÓZEF RETMAN

2

W tym cały ambaras...

Co jest potrzebne, by między dwiema stronami mógł się odbyć dialog? Ano... przede wszystkim sama chęć rozmowy, a co się z tym wiąże, wysłuchanie przeciwnika i nienaradzanie mu własnego poglądu. Spieranie się, owszem, ale na zasadach partnerskich. Rzecz to nierzadko bardzo trudna, a by się porozumieć trzeba wiele inwencji i dobrej woli wyłożyć tak z jednej, jak i drugiej strony. Ale bywa, że to też nie pomaga i dogadają się nie sposób. Próbowaliśmy jednak zawsze, bo w rozmowie, nawet nie zakończony porozumieniem, wiele się można nauczyć, a nierzadko perspektywy się mogą otworzyć tam, gdzie wydawało nam się, że już tylko ściana była i nie więcej, słowem, zmienić — jeśli już nie w całości, to przynajmniej w części — własne poglądy.

Napisał Stanisław Vincenz: „(...) dialog, o ile trzyma się ściśle zasad i granic soltaracyjnych, to jest definicji i uprzejmości w starciach — bo to jest cecha dramatu intelektualnego — może być pożyteczny na każdym szczeblu, a jeśli rozmówcy mają dość fantazji — nawet twórczy, a co najmniej zaletniący”.

To dialog, przecież, który prowadzi do wyjaśnienia lub porozumienia, leży u podstaw naszej kultury.

Naigorsza z sytuacji to taka, w której dwie strony znają się świetnie, wiedzą, czego po przeciwniku można się spodziewać i nie chcą już rozmawiać. W takich przypadkach prawie zawsze ta wzajemna niechęć do podjęcia rozmowy zakrapiona jest nutką nienawiści, a nienawiść nigdy jeszcze do dialogu nie doprowadziła. Doprowadziła raczej do rozwiązania siłowych, a te, jak wiadomo, niczego nie załatwiają na długo. No chyba, że przypadkiem, jak to już było. W deszczowy dzień pojawił się Józef Guillin i zaproponował, by schować się w budynku do gry w piłkę. Co było dalej wiemy. Bastylla, Danton, Robespierre i tak dalej. W tym wypadku, czego nie da się ukryć, wiele rzeczy rozwiązanych zostało definitywnie.

Albo czasami teraz inne i lepiej rozmawiać, bo nie zawsze silniejszy wygrywa. Przykładem tu najlepszym jest Afganistan; zresztą, przykładem z areny wielkiej polityki więcej, a i z własnego podwórka można by podać kilka dat i związków z nimi wydarzeń. A ponieważ w życiu naszym paradoksów całe mnóstwo, tak i w tej sprawie jakiś być musi.

Otóż my lubimy bardzo dużo mówić, trudno by o Polaków powiedzieć, że są lakoniczni. Szkoda tylko, że z owego mówienia nie ma większego pożytku. Gdyby u nas czynny był przedmiotem słów, to powinniśmy być jednym z najbogatszych narodów na świecie, niestety, nie tylko od tego to zależy. Naszą potrzebę mówienia wyładowujemy w ciągłych kłótniach. W tej dziedzinie jesteśmy prawdziwymi mistrzami. Tu się najlepiej sprawdzamy, tu odnajdujemy jakby naszą drugą naturę, a że do czegoś to w konsekwencji nie prowadzi, to już nikogo nie interesuje. Czasami wydaje mi się, że gdyby odebrać nam ten narodowy skarb jakim jest kłótnia, to Polak

przestałby być tym, kim jest, nie potrafiłby znaleźć sobie miejsca, odebrana przecież zostałaby mu jakaś bardzo ważna część, jak tu bez niej żyć, kiedy ona w naszej tradycji tak mocno osadzona.

Napisał w roku 1942 Józef Wittlin: „To chyba nie tylko przypadek, że osnową dwóch naczynych arcydzieł polskiej poezji: epickiej i komediowej, jest — kłótnia. Zarówno w „Panu Tadeuszu”, jak i w fre-drowskiej „Zemście” do brzy i zaci Polacy kłócą się na umór z dobrymi i zacymi Polakami. Przedmiot obu tych zwa-d jest raczej blady, ale w obu wypadkach chodzi nie o przed-miot sporu, lecz o sam spór, o kłótnię w jej niejako metafizycznej postaci, o grę, w której partnerzy wyżywają się bez reszty, pokazując na co ich maksymalnie stać”.

Kłótnia w żadnym razie nie jest elementem dialogu. W literaturze owszem, spełniała i spełnia swoje zadanie pięknie, ale w innych przypadkach jest czynnikiem destrukcyjnym i nie nie da'e. Może więc teraz przyszedł czas, by ją odrzucić, by spróbować, kim mogliby być Polak bez tej wiecznej zlej i rozkapryszony damy? Do tego przecież tak niewiele trzeba, wystarczy tylko chcieć. No właśnie, w tym cały ambaras...

TOMASZ A.
WŁODKOWSKI

3

Sport

Był sobie wilk, który porywał piłkarzy

Zrobiłam wycinki prasowe dotyczące ucieczki Andrzeja Rudygo. Jest tego sporo kupka. Ostatnio w prasie sportowej i działach sportowych codziennych gazet tylko o ucieczce Andrzeja Rudygo. „Sztandar Młodych” cytuję wypowiedź sekretarza Generalnego PZPN — Zbigniewa Kalińskiego udzieloną na zachodniemieckiej gazecie „Die Welt”:

— „Musimy skończyć wrzeszczenie z międzynarodową piłkarską mafią — powiada Zbigniew Kaliński. — Inaczej trzeba będzie zamknąć sklepik. Wiemy kto się za tym kryje. W takiej sytuacji nie mamy szans na zakwalifikowanie się do MŚ. Ukradną nam wszystkie talenty. Tym razem trzeba zadziałać ostro. Z pełną dokumentacją zwrócimy się do FIFA i UEFA żądając wyciągnięcia konsekwencji”.

Powiało groźną!

W RFN gra 22 polskich piłkarzy, czyli dwie jedenastki. Nie wszyscy trafili tam legalnie, za zgodą polskich władz piłkarskich. Jedna jedenastka ma już obywatelstwo RFN. Niektórzy zmienili nazwiska. Na przykład Bogusław Kwiecień nazywa się teraz Wolfgang April. W RFN obowiązuje zasada, że w klubowej drużynie może grać tylko dwóch cudzoziemców. Jeśli więc polski piłkarz ma babkę Niemkę, albo dziadka, albo sobie takich protoplastów wymyśli, to ma szansę na otrzymanie paszportu RFN i wtedy, obok niego, może w drużynie grać dwóch prawdziwych cudzoziemców, bo jest już cudzoziemcem tylko sztucznym. Być może rzeczywiście w RFN działa mafia. Ponoć na jej czele stoi niejaki Andrzej Cybulski.

W myśl tej teorii Andrzej Rudy nie uciekł z Włoch, ale „został porwany”. Ponoć po Polsce krąży tajemniczy faceci w jasnych płaszczach i ciemnych okularach, napastują młodych piłkarzy i namawiają ich do ucieczki do RFN, gdzie czekają na nich złote góry, piękne dziewczyny, wspaniałe auta i beczki piwa.

Nadal wieje groźną!

Ale ja w te bajki nie wierzę. Andrzej Rudy ma 23 lata i nie jest sierotką dziewczką. Ma dziecko. Matka jego dziecka też już znalazła się w RFN. Karierę piłkarską zaczął w Odrze Ścinawa, potem był Śląsk Wrocław i transfer do GKS Katowice. To był transfer, który przyciągał legendarnie już 11 milionów złotych za Dariusza Dziekanowskiego. Można powiedzieć, że w górniczym klubie w Katowicach nie młodemu piłkarzowi nie brakowało. A jednak!

W Gdańsku chodzi do szkoły Jacek Frąckiewicz. W tym roku zdaje maturę. Gra poza tym w Lechii. Otóż ów Jacek Frąckiewicz postanowił przerwać karierę piłkarską, no bo musi się uczyć, co należy pochwalić. Chce iść na studia. Ale to jest opowieść dla naiwnych, gdyż w tym samym czasie jego ojciec zgłosił postulat. W tym momencie. A mianowicie: klub będzie płacił miesięcznie 60 000 złotych, dawał regulaminowe nagrody, da 1 000 000 złotych na zagospodarowanie oraz „Fiat 126p”. I to niezależnie od tego, w jakim zespole Lechii Jacek Frąckiewicz będzie grał.

A jak nie?

Najpierw młodzieniec skończy maturę — słusznie — a następnie rozpocznie karierę zawodowego piłkarza i to nie drugiej ligi.

To była dygresja. Zresztą celowa. Działacze PZPN bają się nam o „międzynarodowej mafii”, a tymczasem demoralizują się na miejscu młodych piłkarzy, stwarzając im warunki niemal królewskie — jak na nasze możliwości — aby tylko chcieli kopać piłkę, nie baczając już na to, jak oni te piłki kopią. Stąd młodym przewraca się w głowach i wydają się im, że świat się o nich bije. A przecież tak wcale nie jest.

Co właściwie zrobił Andrzej Rudy? Poszedł w ślady Marka Leśniaka, z tą tylko różnicą, że Marek Leśniak miał zgodę na grę w zagranicznym klubie. Poszedł w ślady Grzegorza Wiśniewskiego z ŁKS, z tą tylko różnicą, że Grzegorz Wiśniewski na razę wrócił do łodzi. Wydział Ligi PZPN zażądał dla Andrzeja Rudygo kary bezwzględnej dyskwalifikacji i niewyrażenia zgody na transfer zagranicę. PZPN przychylił się do propozycji Zarządu GKS Katowice i wymierzył taką karę, jaką sformułowane w stanowisku klubowym, opublikowanym przez „Sport”: „zawieszenie w prawach zawodnika do czasu wyjaśnienia przyczyn i okoliczności” jego zniknięcia. Drużyna została uchylona. Być może uda się znów — jak w przypadku Leśniaka — uratować parę tysięcy marek i czekać na porwanie następnego zawodnika? Zobaczymy!

Cała ta „afera” jest wręcz żenująca. Piszą „zdrójca”, „uciekli”, „droga donikąd”. Publicyści sportowi rozdzielają szaty w rejtanowskiemu geście. Zabronić, zakazać, zamknąć! A niemal każdego dnia wyjeżdża z Polski, często na zawsze, zdolny lekarz, inżynier, psycholog, konstruktor, fizyk, chemik, biolog — ludzie, którzy tu, nad Wisłą nie widzą dla siebie możliwości, którzy nie mają setnej części tego, co miał Marek Leśniak czy Andrzej Rudy, a którzy być może wybiją się gdzieś na Zachódzie, w Kanadzie, USA, Argentynie, Brazylii, Australii i będą chlubą tamtejszej społeczności. Czyż nad tym nie trzeba płakać, biadać i o to się martwić? O te wynalazki, konstrukcje, odkrycia i naukowe osiągnięcia zuboża się Polska. To może, to musi mieć negatywne dla nas skutki. Ale to nikogo lub mało kogo obchodzi.

Uciekł Andrzej Rudy i panowie placzą. No, to uciekł. Niech mu tam dobrze będzie! A przy okazji niech ludzie, którym wydaje się, że są tacy sprytni, nie korzystają z okazji i zastanawiają się „międzynarodową mafią”, która porywa, polskich piłkarzy, nie próbując stworzyć wygodnego usprawiedliwienia własnej i cudzej nieudolności. To dopiero zaczyna być gróźna!

BOGDA
MADEJ

ANDRZEJ KEMPA

Wszedł Herim i przekazał mu pytanie Zyfiki, czy nie chce zobaczyć swojego pierwotnego syna, Kira.

— Powiedz jej, że mam syna w Gnieździe — odparł gniewnie Dago.

Po jakimś czasie znowu przyszedł Herim i zapytał Dagona, czy nie chce przyjąć grafa Fulki.

— Po co mam z nim rozmawiać? — zapytał ostro Dago.

— Pragnie twej rady, panie. Słyszał, że saurumackie kobiety zabijają lub biorą w niewolę swoich mężów. Lęka się Zyfiki. Pragnie w rozmowie z tobą zmyć wszystkie swoje winy, zapomnieć o urazach i otrzymać od ciebie zapewnienie, że małżeństwo z Zyfiką będzie dla niego bezpieczne.

— A co ja mu mogę pomóc? — roześmiał się Dago.

— Byłem mężem Zyfiki, a przecież żyje. No dobrze, wprowadź go tutaj, ale niech nie ma przy sobie żadnej broni.

Wszedł grafi Fulko, bez pancerza, bez broni, bez płaszcza. Miał tylko na sobie kaftan z sukna i obcisłe spodnie w zielny. Na piersiach wisiał mu złoty łańcuch. Z jego ust zniknął gdzieś ów uśmiech, którym tak szczerze wszystkich obdzielał podczas uroczystości piastowania. Jego twarz była szara, a włosy na skroniach posiwiałe.

Ciężko usiadł na ławie przy stole.

— Mam przecucie nieszczęścia, panie — oświadczył cicho.

— Wzięła mnie do swego łóża, ale nie okazała miłości. Jestem dla niej tylko mieczem przeciw tobie, a przecież chciałbym nareszcie po latach wciągnąć ją do siebie gdzieś spokojny kąt. Pragnę panować wraz z nią na Mazowii pod twoją władzą.

— Czy nie byłeś zawsze bronią przeciw mnie? — zapytał Dago.

— Zie się stało pod bramami Sieradzy, ale czy nie było w tym trochę i twojej winy, Piastunie? Zabrałeś mi Arne, nie zbuntowałem się jednak. Skazałeś mnie na niedzę i głód w obozie nad Nerem, nie zbuntowałem się. Obiecałeś, że jeśli stanę pierwszy u bram Sieradzy, będę mógł wraz ze swoimi żołnierzami nareszcie napelnić brzuchy i sakwy.

— To ja byłem tam pierwszy.

— I to mnie rozwiściło, panie. Nie mogłem nad sobą zapanować. Nie wolno ciągle łamać dumy drugiego człowieka, bo nawet szczerz rzuca się na ciebie, jeśli go przypiesz do ściany. Uciekłem na Mazowię, a tu zajęła się mną Zyfika. Czy sądzisz, że ona szczerze obiecuje dzielić ze mną władzę na Mazowii?

W odpowiedzi Dago klasnął w dlonie i rozkazał jednemu z Lestków, aby przyniósł im dzban wina. Wolał miód sycony lub piwo, ale słyszał, że w Plocku od przybywających Visulą kupców kupowano wino, a właśnie ten trunku pili na świecie władcy.

Lestek przyniósł pościelany dzban wina i pościelane kubki oraz zapalony kaganek, gdyż zapadał jesienny zmrok. Dago napelił kubek grafa Fulki.

— Wypij pierwszy — powiedział.

— Nie ufasz nam, panie — stwierdził ze smutkiem Fulko.

— Dobrze, wypij pierwszy, a byś wiedział, że nie noszę zdrady w swym sercu.

I wypróżnił kubek do dna. A gdy minęła chwila i nic mu się nie stało, Dago nalał znowu wina do kubka grafa Fulki i napelił także swój kubek.

— Byłem mężem Zyfiki, a przecież żyje, grafie. Podporządkuj sobie kobietę albo ją zabij — doradził Fulce.

— Rozsiądź mnie jej Saurumacki.

Podniósł kubek do ust i wypróżnił go. Dago także tyknął ze swego kubka, smakując językiem i podniebieniem dziwnie siodki smak wina.

— Przecież, jak słyszałem kilkunastu Saurumatów zbuntowało się przeciw niej. Zdobyli nawet Raciąż i to pod twoim dół dół.

— To nieprawda, panie — zdumiał się Fulko. — Nikt się przeciw Zyfice nie buntował.

Dago odstawił od ust kubek z winem.

— Nigdy nie wolno wierzyć kobiecie — mruknął zamysłony.

Raptem grafi Fulko zbliżył się do Dagona, pot pokrzył mu czoło, w kącikach ust pokazała się piana.

— Zyfika... nas... otrula — wypowiedział niewyraźnie.

Język mu zeszytywał, oczy wyszły z orbit, wyprężył się i jak ciężka kłoda upadł na podłogę.

Dago zerwał się z ławy. Najpierw chwycił opartego o ścianę Tyrtinga i swoją tarczę, następnie otworzył drzwi i krzyknął do czterech strażujących Lestków:

— Zdrada!

Na schodach i w sieni już tupotały ciężkie kroki nadbiegających wojowników saurumackich. Co znaczyło czterech Lestków wobec dziesiątków ukrytych we dworze wrogich żołnierzy? Nie stanowili też żadnej ochrony pozostali we dworze Lestkowie, rozmieszczeni w komnatach sąsiadujących z izbą Dagona. Piastun pobiegł więc do okna i otworzył je szeroko, szukając poniżej dachu lub jakiejś przybudówki. Po dachu chciał się dostać na wale i do obozu swoich ludzi. Lecz nie było dachu pod oknami, a tylko o kilkanaście metrów poniżej wybrukowany kamieniami podwórce. Z wczesnej ciemności jesiennej noży dobiegł go straszliwy wrzask — to chyba saurumacki żołnierz Zyfiki otoczyli obóz Lestków i trwała tam walka.

Fulko wypił dwa kubki zatrutego wina. Dago — tylko łk. Łudził się nadzieją, że trucizna nie zdoła go pokonać. Dlatego znowu skoczył do drzwi, aby wspólnie z Lestkami

i czułam, że zawsze jesteś przy mnie swoim myślnym.

Zobaczył Herim nagle ciała w komnacie i zapłakał:

— Zyfiko, co uczyniłaś? — belkotał. — Czy nie pojmujesz, że otrulaś Piastuna? Teraz państwo rozpadnie się jak słabo wypalony garnek gliniany.

— Ja będę tu królową Zyfiką a mój syn następcą Piastuna — oświadczyła dumnie. — On jest krew z jego krwi, syn pierwotny, król Kir. Wbijcie, żołnierze, osłony kolek w piersi Piastuna, aby nie powrócił między nas jako żadna krew ludzkiej strzyga.

— Nie, pani — zakrzyknął Herim. — Kochałem go tak jak i ciebie. To on dał mi życie i wolność.

To powiedziałszy Herim zdmknął z siebie biały płaszcz i nakrył nim nagie ciało Dagona.

— Uważaj, co mówisz, Herimie. Moja siłabosć do ciebie może mi minąć. Nie mogłem kochać więcej jego niż mnie. To był kłamca. Mówił, że jest nieśmiertelny, a przecież leży te-

ki i wskazała dziecku leżące na podłodze ciała.

— Patrz — powiedziała. — Oto już martwy stał się człowiek, który pragnął panować nad mną i nad Mazowią. Czyż, Kirze, martwymi tych, co zechcą nad tobą panować albo w płynie w tobie krew olbrzymów, choć tego Piastun nie uznał.

To powiedziałszy kopnęła zwłoki grafa Fulki i splunęła na nie z pogardą.

Pokazała małcowi ciało okryte białym płaszczem Herima.

— A tam leży człowiek, który zwał się Piastunem i był twoim ojcem. Zginął, gdyż nie uznał cię za syna i za olbrzymi.

Chciał stworzyć wielkie państwo od Morza Sarmackiego aż po góry Karpaty, ale to ty będziesz tworząc państwo. Gdy dorosisz obudz się w tobie krew olbrzymów, z których on pochodził. Swoimi czynami dowiedź się, że kłamiał nazywając cię karłem.

Dwuletni chłopiec nie nie ro-

plastunki i odezwała się do Herima:

— Będziesz kanclerzem w moim państwie, tak jak nim byłeś u Dagona. Jeśli gdzieś wysię swoich ludzi do Kruszwic, Poznani i Gniazda, także do Sieradzy i do Częstochy nad granicą z Visulanami, opowiedz, że widzieli martwego Piastuna, jego Tyrting znajduje się w moich rękach, a jego biały ogień rzy w mojej stajni. Odtąd ja, Zyfika, jestem władczynią Polan, dopóki nie dorosnie mój syn, Kir, krew z krwi Piastuna. Kto odda się w moją władzę i w moje piastowanie, ten ocali życie i mienie, a kto tego nie uczyni, będzie martwy. Wódz moich wojsk, Rewin, wyruszy przeciw Łęczy i przywleczę mi Olta Powalę, który mnie siłą posiadał i wydrwił, za co zostanie surowo pokarany, ginąc w najstraszliwszych męczarniach. Potem namówię Awdanów i Paluke, aby wraz ze mną posiedli Kraj Ludzi Wołnych aż po rzekę Viadue, nie obawiając się władców Pyrry-

po Piastunie, bo to znaczy, że potrafisz być wierny.

— Ty też chcesz władzy.

— Ale nie dla siebie — odparła.

A następnie znowu wydała rozkaz:

— Wrzućcie ciała do rzeki.

Dopiero teraz dwóch żołnierzy chwyciło ciało Fulki, a dwóch innych podniosło okryte płaszczem ciało Dagona i zaczęli je nieść korytarzami dworu, a potem przez podwórce i podgrodzie aż na przystań, gdzie cumowały statki.

Dago usłyszał głośny plusk wody — to żołnierze rzucali do Visuli ciała Fulki.

Ci, którzy uparli się z Fulką, pomogli tym, którzy niesli Dagona.

Tamten był już prawie sztywny i całodny. A ten ma ciało miękkie i ciepłe — powiedział jeden z tych, którzy rzucali Fulkę do rzeki.

Ostygnie i zeszytywnieje w rzecze — roześmiał się któryś. Inny powiedział szepem:

— Lestkowie gadali, że był w Jaskini Wężów i uczyniono go nieśmiertelnym.

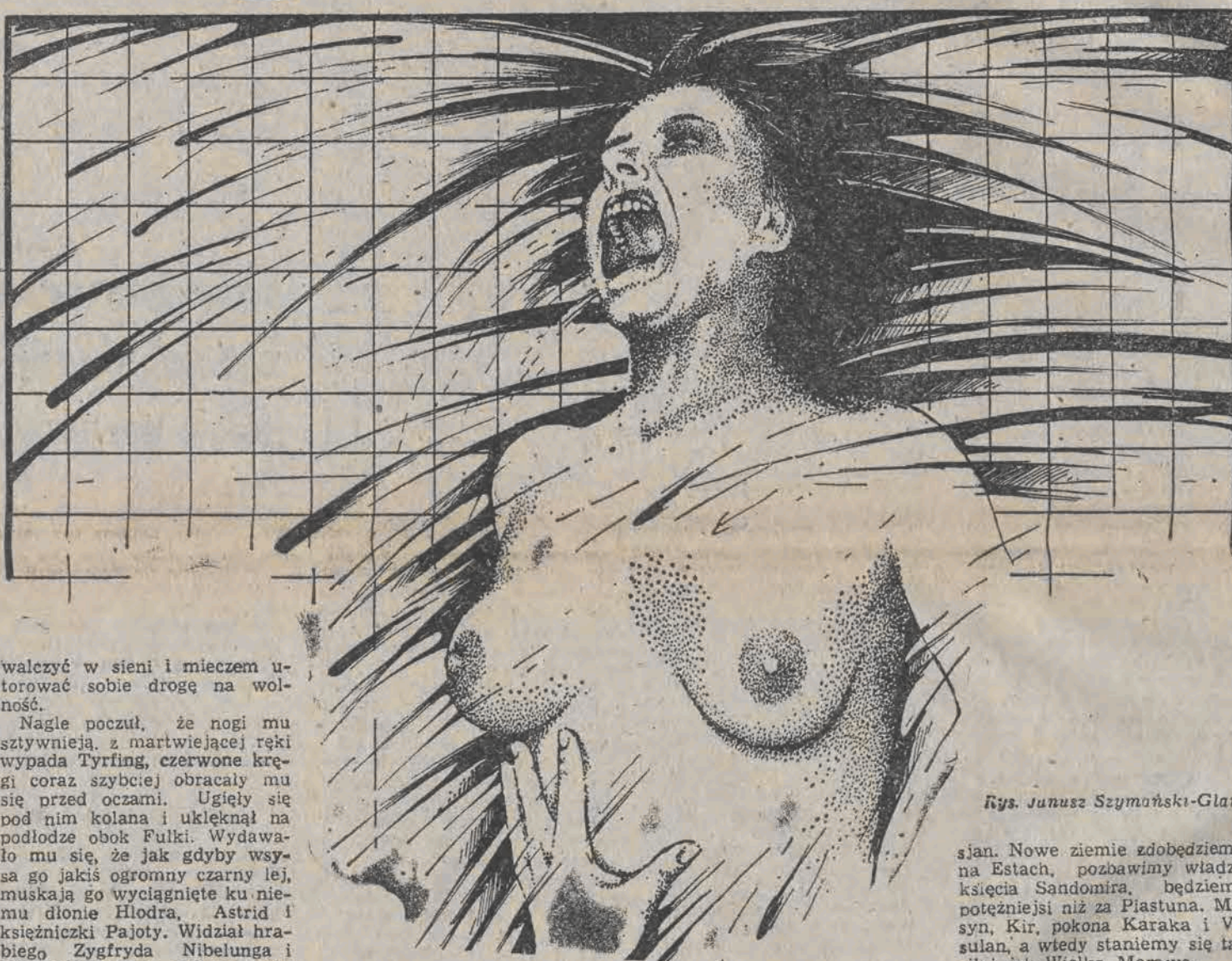
Nie ma takich czarów, które czynią nieśmiertelnym — padła odpowiedź i wszyscy czterej zaczęli hustać ciałami Dagona. A kiedy je rozhustali, cisnęli je daleko od pomostu w pograżony w mroku nurt Visuli. Biały płaszcz Herima natychmiast zsunął się z ciała Dagona i dopłynął po powierzchni rzeki, przez jakiś czas widzieli więc białą plamę na wodzie. Dago zaś zanurkował głęboko, a potem niemal bezszelnie wypłynął na powierzchnię. Czując jak członki sztywnieją mu od lodowatej zimnej wody skrył się za kadiubem cumującego u przystani wielkiego kupieckiego statku.

Żołnierze odeszli. Na statku słychać było saracęską mowę kupców. U nich nie mógł szukać ratunku, ponieważ oni wydobyli go temu, u którego znalazł przystań i gościnę.

Obok cumował drugi duży statek, a przy nim kołysała się na falach uwiązana na sznurze mała łódź, dlabanka bez wiosel. Dygocąc z zimna wpełzł na nią Dago. Czując, że od chłodu znowu sztywnieją mu członki i jeśli chce przeżyć, musi natychmiast znaleźć jakieś ciepłe okrycie. Podciągnął dlabankę do burty statku i zaczął nadśledzić. Na tym statku także przebywali saracęscy kupcy i marynarze, ale ich głosy dochodziły z rufy. Wspiął się więc na rzeźbiony dziób, przeleżał przez burte i zanadł się w wypełniające ładownie ziarno. Po omacku dotarł do sterty lnianych płacht, które w razie deszczu służyły do okrycia ziarna. Dwa takie płótna zabrał ze sobą na dlabankę, okrył się nimi, a potem przegryzł zębami konopny sznur i dał się dlabance ponieść z nurtem rzeki, dłońmi jak wiosłami kierując ją ku lewemu brzegowi Visuli.

ZBIGNIEW NIENACKI

Dagome iudex



Rys. Janusz Szymański-Glanc

walczyć w sieni i mleczem uitorować sobie drogę na wolność.

Nagle poczuł, że nogi mu sztywnieją, z martwiejącej ręki wypadła Tyrting, czerwone kręgi coraz szybciej obracali mu się przed oczami. Ugięły się pod nim kolana i ukięknął na podłodze obok Fulki. Wydawało mu się, że jak gdyby wysła go jakiś ogromny czarny lej, muskają go wyciągnięte ku niemu dlonie Hlodra, Astrid i księżniczki Pajoty. Widział hrabiego Zygryda Nibelunga i dziesiątki innych, którym uciał głowy. Widział siebie jako małego chłopca, pasącego krowy koło Czarnego Boru, pochylona nad sobą twarz Zely i jej bujne jasne włosy. Z mroku, jaki wokół niego wirował, wyławiał połówki twarzy Gedanii, Dunina Grubego, Powalę Starzszego i wielu innych, którzy stanęli na jego drodze, aby zginąć. W krótkim błysku świadomości był pewien, że leci do Nawi, w straszliwy chłód, który poczynął ogarniać całe jego ciało. A potem stracił przytomność.

Rzeń Lestków trwała długo, bo ci co przebywali we dworze woleli zginąć niż się poddać. Potowe Lestków w obozie przy podgrodziu udało się wybić, ale druga połowa przedarła się przez szeregi napastników, dopadła koni i wplaw uciekła przez Visulę. Kilku z nich utonęło, ponad sześćdziesięciu jednak dotarło do Gniazda, niosąc wieść o zdradzie Zyfiki. Utraciła też ona pięćdziesięciu sześciu najlepszych wojowników saurumackich.

Ciała Dagona i Fulki żołnierze obdarli z ubrania. Nagie i dziwnie sztywne leżały na podłodze komnaty między kahułami czerwonego wina, które wylało się z przewróconego dzbana.

Ocalili ci życie, Herimie — powiedziała Zyfika, prowadząc go i czterech swoich Saurumatów do komnaty, gdzie leżał Fulko i Dago — ponieważ ty jedyny współczułeś mi, gdy zostaliśmy wygnani z Gniazda. Wiem o twojej do mnie miłości

raz martwy pod twoim płaszczem. Poddadają się władzy mego syna wszystkie jego grody i warownie, a tym, co okazał opór, utnę głowy i trupy wrzucę do rzeki. Czy nie uczył nas Piastun, że okrucieństwo budzi strach, a strach rodzi miłość?

— Nie usłuchaj cię Lestkowie, Zyfiko — oclerając lzy mówił Herim. — Pozwalaś nazywać się królową, a oni nie nawiadza komesów i królów. Nad królami jest zresztą cesarz, a nad cesarzem był Piastun. Czymże będziesz, jeśli nie stało Piastuna?

— Opornych Lestków wybije jak pluskwy — mściwie oświadczyła Zyfika. — A kto użna Kira za prawowitego następcę, będzie wolny i zachowa swoje przywileje oraz swoją władzę. Ciebie, Herimie, pozostawie kanclerzem mego państwa.

Herim ukięknął przed nią i ucałował jej dłoń.

— Królowo — zebrał — kocham cię, ale i jego kochałem. Powól, abym urządził mu pogrzeb godny księcia.

— Wrzućcie ciała do rzeki — w odpowiedzi rozkazała swoim żołnierzom.

— Zapomniałaś, Zyfiko, że nie tylko mnie, ale i tobie uratował życie, wyciągając cię z bagna. A potem, czy nie poszedł na pomoc królowej Aitwar?

— Przyprowadźcie tu mego syna, Kira, który będzie władcą Polan — rozkazała Zyfika.

A kiedy piastunka przyniosła na reku dwuletniego chłopca o jasnych jak u Piastuna włosach, odebrała go z rąk piastun-

zumiał z tego, co się tu stało. Nie okazał zainteresowania dla leżących na podłodze martwych ludzi. Odwrócił od nich twarz i z o wiele większą ciekawością popatrzył na Herima i otaczających go zbrojnych, zadyszanych od walki żołnierzy saurumackich.

— Wrzućcie ciała do rzeki — po raz drugi rozkazała Zyfika. Ale żołnierze nie kwapili się z wykonaniem polecenia, gdyż te dwa martwe ciała na podłodze jeszcze w nich budziły strach. Mimo że grafi Fulkę obdarło z ubrania, a pod płaszczem Herima zaledwie zaznaczał się kształt postaci Dagona, wciąż im się zdawało, że ci dwaj jeszcze żyją i przez swoją pozorną martwość są groźniejsi niż byli za życia. Przez krótką chwilę wydawało im się nawet, że martwy Piastun drgnął pod lnianym płótnem płaszcza.

Biały płaszcz Herima uratował życie Dagona. Ocknął się z omdlenia właśnie w tej chwili, gdy Herim narzucił go na niego. Dlatego Zyfika nie zauważyła, że pierś Dagona zaczyna się powoli podnosić a usta gwałtownie chwytały oddech. Czując w całym ciele przykre mrowienie, ale wraz z nim usteępowała siłabosć i sztywność członków. Słyszał każde słowo wypowiedziane przez Herima i przez Zyfikę, pod płaszczem zaczął ostrożnie poruszać palcami i stwierdził, że wraca do nich życie i siła. Tak, słyszał wyraźnie każde słowo, jakie wypowiadał, nawet domyślał się co się dzieje wokół niego.

Zyfika oddała Kira w ręce

slan. Nowe ziemie zdobędziemy na Estach, pozabawimy władzę księcia Sandomira, będziemy potężniejsi niż za Piastuna. Mój syn, Kir, pokona Karaka i Visulan, a wtedy staniemy się tak silni jak Wielka Morawa.

Mówiła o tym jakimś wielkim zachwycie, jak gdyby tego wszystkiego już dokonała. A przecież nie zabrano jeszcze z komnaty ciał Fulki i Dagona. Dlatego przerwał jej Herim:

— Nie ukorzy się przed tobą Awdaniec i Paluka. Nie otworzy ci bram Spicimir, gdyż ma w Gnieździe piastunowego syna, Lestka. Na wieść, że zginął Piastun, zwrócić się przeciw nam palający zemstą Estowie i wszystkie ludy pomorskie. Mówiłem ci, pani, że to państwo rozpadnie się jak słabo wypalony gliniany garnek. A co z Helgundą? Zapomniałaś o jej prawach do tronu Popielowosych? Przed walką z nami wstrzymywał ich tylko strach przed Piastunem. Czy będą odzwalać ten strach także przed tobą?

— Zamilec — krzyknęła. — Zamilec, bo wbię ci noż w pierś. Czy nie wzbudzi lęku przede mną wieść, że to ja odważyłam się zabić Piastuna, przed którym ty i inni drżeliście z trwogi?

— Kochałem, pani, Piastuna — jęknąłwie rzekł Herim. — Kochałem go, bo spełnił wszystko co obiecał. Był nawet chwile, gdy przy jego boku i ja czułem się olbrzymem. A ty, pani? Czy nie było w tobie dla niego ani odrobiny miłości?

— Tak, odczuwałam takie chwile. Ale on bardziej kochał władzę niż jakąkolwiek kobietę, niż własnego syna, którego wyrzucił się jako karla. Silniejszą od miłości do władzy okazała się moja miłość do Kira. Nie potępiaj cię, że płaczysz

ROZDZIAŁ SZÓSTY

O brzasku na piaszczystej łasze przybrzeżnej znalazł Dago kawałek krzemienia o bardzo ostrym brzegu. Pociął nim dwie płachty lina, które ukradł z kupieckiego statku i zrobił z nich coś w rodzaju wierzchniego okrycia. Potem obwiązał płótnem nogi aż do kolan. Było mu wciąż bardzo zimno, ale nie miał krzesiwa ani hubki, aby rozpałić ogień. Zresztą dym mógł zdradzić jego obecność. Na skraju puszczy ostrym brzegiem krzemienia uciał kilka świeczków i zrobił z nich włócznię o zastrzonych końcach. Była to broń orymitywna, mogła jednak ochronić go przed dzikimi zwierzętami. Tak uzbrojony zagłębił się w puszczy kierując się ku zachodowi. Nie czuł głodu, od czasu do czasu jednak odczuwał w sobie działanie trucizny i miał zawroty głowy. Szedł ostrożnie, jak go uczyła Zely — nie łapiąc gałązek i przerzucając ciężar ciała z nogi na nogę. Ten ruch rozgrzewał go i wkrótce zrobiło mu się znacznie cieplej.

C.D.N